MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 52 WARSZAWA, 12 GRUDNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

Z DYSKUSJI O TOTALIZMIE I

DOŚWIADCZENIA I WZORY

UMIESZCZAJĄC artykuł p. Dworaka pt. „Totalne państwo narodowe", Szanowna Redakcja „Myśli Narodowej" otwarła dyskuskusję nad tym przedmiotem. Jako przeciwnik totalizmu śmiem prosić o zamieszczenie także i moich uwag w myśl zasady: *audiatur et altera pars.*

Modny teraz w niektórych kołach totalizm, czyli ustrój wszechmocy państwa nie jest niczem nowem. Jest to ustrój, który znamy z historii pod nazwą absolutyzmu, despotyzmu itp., tylko zgodnie z najnowszymi środkami komunikacji, udoskonalony, a więc jeszcze wszechstronniejszy, całkowicie skompletowany. Nie mówiąc już o starożytnej Assyrii, czy Egipcie, które są zbyt od nas odległe, przypatrzmy się bliższemu nam totalizmowi, np. rzymskiemu. Rzym opanował cały ówczesny świat, rozwinął sztukę wojskową i prawo, kiedy był albo rzecząpospolitą, albo jako cesarstwo żył pod pewnymi względami tradycją rzeczypospolitej. Prawdziwy totalizm zaprowadził tam dopiero Dioklecjan. I tu uderza jedna rzecz: udoskonalając system totalistyczny, Dioklecjan czuł się tak skrępowany, przez tradycję dawnego Rzymu, że przeniósł stolicę państwa do Nikomedii w Azji Mniejszej, ażeby nawet tym faktem zadokumentować, że totalizm jest ustrojem wybitnie wschodnim. Ludziom, którzy powiadają, że opierają się na kulturze zachodnio-rzymskiej wypadałoby więc zastanowić się, czy można jednak tak bardzo wychwalać rzecz, poczętą z ducha wschodniego, odpowiednią może dla Mongołów, ale wstrętną ludziom, wychowanym na religii chrześcijańskiej i na kulturze rzymskiej.

Zresztą rozejrzyjmy się w metodach i skutkach owego totalizmu. Dioklecjan utworzył w imperium oddzielne warstwy, na wzór prawie kast indyjskich. Dzieci rolników musiały być rolnikami, rzemieślników rzemieślnikami, niewolników niewolnikami, nawet żołnierzy żołnierzami. Było to *professioni adscriptio,* przypisanie do zawodu, czyli unieruchomienie kast. Dzisiaj podobne tendencje widać wszędzie — a wytrwale powtarzane ubolewania na temat braku wszelkiej kultury u ludu wiejskiego, braku, który ma wynikać nie z dzisiejszych warunków, tylko poprostu z nieuleczalnej niższości rasowej, która nawet przez wykształcenie nie może być usunięta, świadczy o tem, że dość liczni pisarze i politycy chcieliby i u nas wprowadzić podobną *professioni adscriptio*, jako podkład pod ustrój totalny.

Zapytajmy więc, jakie były skutki reform dioklecjanowych. Wojsko degenerowało się tak, że wkrótce żołnierze nie mogli udźwignąć zbroi — zaczem musiano zdjąć z nich żelazo, ubrać w kapelusze i kaftany, a w końcu przyjmować na służbę bandy rozbójników germańskich, czyli przygotować rozbiór cesarstwa rzymskiego. Zawody cywilne wyrodniały, nędzniały i wymierały. Wyludniły się prowincje naddunajskie, Panonia, Bałkan, Afryka tak, że bandy germańskie, a później plemiona słowiańskie i arabskie pozajmowały owe wyludnione ziemie w Alpach, na Węgrzech, na Bałkanie i w Afryce.

W imię totalnego państwa tak udoskonalono zdzierstwo podatkowe, że dzisiejsi skarbowcy o duszach fiskalnych mogliby się jeszcze wiele od rzymskich skarbowców z czasów późnego cesarstwa nauczyć. Pociągało to za sobą strach przed państwem i nienawiść do państwa. Nie dziw, że ludność cesarstwa witała najeźdźców germańskich jako wybawicieli. Senator Apollonius z Lugdunum (Lyon) notuje ze zdumieniem, ale i ogromną radością, że przez kilka dni rozmawiał z naczelnikiem najeźdźczych Burgundów oraz jego otoczeniem, i o dziwo! ani razu nie wspomniano o podatkach! Rzecz dla Rzymianina z czasów totalnego państwa niepojęta.

A przecież państwo Dioklecjanowe zostawiało jeszcze resztę samorządu w *civitates* (który co prawda ograniczał się do ściągania podatków na rzecz cesarskiego fiskusa), tudzież wolność religijną. Nie przeczy tej tolerancji religijnej nawet straszliwe prześladowanie chrześcian przez samego Dioklecjana, bo chrześcijanie tępieni byli jako przewrotowcy. Prawdziwy Rzymianin ówczesny czcił Mitrę, posiadał posągi Abrahama, Orfeusza, Jezusa i Apolloniossa z Tyany, ale w rocznice państwowe składał ofiary Jowiszowi kapitolińskiemu i każdą uroczystość rozpoczynał od nasypania kadzidła na ogień przed posągiem czy biustem cesarza. Chrześcijanie wzdrygali się przed tym ceremoniałem, uchodzili więc za antypaństwowców. I za to byli prześladowani.

Dzisiejszy totalizm jednak miesza się nawet w sprawy religijne, jak to widzimy w Rosji i w Niemczech.

Dalszym ciągiem, jeszcze doskonalszym, totalizmu dioklecjańskiego było cesarstwo byzantyjskie. Tam już państwo regulowało tak jak dziś Stalin i Hitler także i sprawy religijne. Cesarze Zenon, Heraclius i inni ogłaszali dogmaty, w jakie wolno wierzyć, oraz mordowali przeciwników tych dogmatów. A skutkiem tego totalizmu było kompletne strupieszenie państwa, które kruszało tak, że z obszarów od Morza Adriatyckiego do Zatoki Perskiej w końcu zmalało do miasta Konstantynopola z przedmieściami.

Takie państwo, dyktujące poddanym nawet w co mają wierzyć, odwróciło uwagę poddanych od spraw państwowych, publicznych, społecznych, zabiło w nich patriotyzm, duszę narodową, godność ludzką, przemieniając ich w niewolników. Nic dziwnego, że kiedy ostatni cesarz bronił najemnem żołnierstwem murów Konstantynopola, mieszkańcy tego miasta nie raczyli nawet interesować się przebiegiem walki, tylko bili się między sobą o to, czy Chrystus jest z Bogiem Ojcem „*homousios*" czy „*homoiusios*", o tę jedną jotkę. Turków przyjęli tak jak dawniej cesarzy własnych, bo wiedzieli, że byli niewolnikami i niewolnikami pozostaną, a czy ciemiężycielem będzie spadkobierca Cezarów czy też sułtan turecki, to im było absolutnie obojętne. Upaństwowiona religia i jej strażnicy duchowni nie zdobyli się nawet na nieśmiałą próbę protestu, czy bodaj agitacji antytureckiej, boć przywykli do tego, że patryarcha nie jest głową wiernych, tylko państwowym ministrem policji nad duszami.

Totalizm doprowadził i cesarstwo rzymskie i cesarstwo byzantyńskie nietylko do politycznego upadku, ale wprost do zguby narodowej. Niema potomków Rzymian w Italii, niema potomków Greków w Konstantynopolu. Zginęły nie tylko państwa, ale i narody pod totalizmem.

Wogóle za mało studjujemy dzieje cesarstwa rzymskiego (kończymy na Neronie, zrzadka na Antoninach, potem skaczemy do Konstantyna i Romulusa Augustulusa), jako też cesarstwa byzantyńskiego, które więcej przypomina perską monarchię Dariusów, czy Kserksesów, niż Rzym przedchrześcijański. A szkoda! Wiele teorii dzisiejszych, modnych, było tam wprowadzonych w życie, a z ich rozwoju można wnioskować, jakie skutki i dla nas mogą wyniknąć z zastosowania tamtych zwyrodniałych wzorów. Ludzie przecież zawszę i wszędzie są ludźmi.

Nauka historii jest więc w tym kierunku odstraszająca, bo nieodmiennie dowodzi, że wszelki despotyzm — a totalizm jest najwszechstronniejszym despotyzmem — hoduje u obywateli upodlenie i znikczemnienie.

Żeby to zobaczyć, nie trzeba nawet wracać do historii, wystarczy rozejrzeć się dokoła siebie. Totalizm zaprowadzono w sąsiednich państwach. Za krótko trwa w Rosji, jeszcze krócej w Niemczech, ażeby mógł pokazać wszystkie swoje złe skutki, które dojrzewają z biegiem lat dopiero. Niemcy, chociaż nie bardzo sympatyczni, byli jednak przed wojną ludźmi, pełnymi godności osobistej, nie poniżającymi się do podłości. Dziś donosicielstwo, ta najnędzniejsza ohyda natury ludzkiej, zaczyna się między nimi szerzyć w sposób zastraszający. Wystarczyło kilka lat na to, żeby ten pierwszy rys niewolnictwa już się okazał. Inne skutki rozwiną się z latami.

Zdumiewa mnie u p. Dworaka przytoczenie Stalina, jako przykładu, mającego dowodzić wyższości systemu totalistycznego nad innymi. Zapomnijmy o milionach ludzi, wymordowanych dla przeprowadzenia i utrwalenia zmiany ustroju — każdy zamach stanu pociąga za sobą ofiary. Ale i tu, liczba tych ofiar jest stanowczo za duża. Jednakże wyspy Sołowieckie i roboty przymusowe, przy których corocznie tępi się nowe miliony ludzi, to już jest zbyt wiele. Zwłaszcza, że nie jest to urządzenie wyjątkowe, potrzebne w chwili zamachu stanu, tylko urządzenie stałe, jako jedna z instytucyj państwowych na równi z oświatą czy komunikacją. Do tego przychodzi wymordowywanie wszystkich pomocników i towarzyszów broni Stalina, którzy mogliby okazać się niewygodnymi dla niego. W tego rodzaju totalnych metodach rządzenia mogą znajdować upodobanie chyba tylko szpitalni degeneraci. A jakie są skutki tego oszalałego systemu rządzenia? Naprzód upodlenie i ogłupienie mieszkańców tak potworne i bezgraniczne, że przeciętnie zdrowy człowiek pojąć nie może, iż natura ludzka zdolna jest wogóle do takiego upadku poniżej najpodlejszych bydląt.

Po wtóre nędza powszechna — wyjąwszy naturalnie stalinowską elitę. W tej Rosji, któraby mogła dostatnio wyżywić pół miliarda ludzi, 20 milionów już wymarło z głodu. Za nędzą i upodleniem idzie wyludnienie kraju — dzisiejsza Rosja ze 160 milionów spadła niżej 120 milionów mieszkańców.

O wartości uzbrojenia, komunikacji, wszystkiego co dotyczy obrony kraju czytamy codziennie pełne grozy rewelacje. Być może, że ogłupiony rosyjski niewolnik, w którym wychowano sztuczną pogardę dla burżujów, gotów jeszcze dziś na wypadek wojny bić się wcale nieźle. Ale to niepewne. Natomiast pewne jest, że za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt, na wypadek obcego najazdu mieszkańcy Rosji obojętnie patrzeć będą na przebieg wojny, albo i pomagać najeźdźcy. A już wychwalanie Stalina za to, że zdusił odśrodkowe dążności rozmaitych inorodców, jest chyba tylko przyznaniem się do zakłopotania i bezradności wobec polskich mniejszości narodowych i niejako pobożnem życzeniem, żeby się i u nas znalazł jakiś Atylla czy Stalin, któryby tę niewygodną sprawę załatwił.

Tymczasem zaognieniu się sprawy ruskiej winni są sami Polacy.

Przecież sprawę ukraińską na Wołyniu stworzyli nie Rusini, tylko Polacy. W trzech zaś województwach południowo-wschodnich po kilkumiesięcznych rządach zachodniej Ukrainy, nastało u ludności ruskiej takie obrzydzenie do ukrainizmu, że bez trudu można było przynajmniej półtora miliona Rusinów polskiego pochodzenia przechrzcić na Polaków, a w tej reszcie utworzyć wierne Polsce stronnictwo Rusinów i odosobnić znikomą grupkę ukraińców. Nie zrobiliśmy tego, choć byli wnioskodawcy, podejmujący się dokonać w sposób legalny stworzenia przygniatającej, rzymsko-katolickiej większości polskiej w tamtych stronach. Przeszkodziło temu ukraino-filskie doktrynerstwo — a dziś na zastosowanie tego środka jest za późno. Dziś robimy karykaturę tego środka, mianowicie kokietuje się grecko-katolicką szlachtę zagonową — ale ta zabawa jest szkodliwa i zgubna, bo przekonywa chłopów, nietylko grecko-katolickich, ale i rzymskich, że Polska jest matką tylko szlachty, ale macochą chłopów. Nie dziw, przeto, że rutenizacja chłopów rzymsko-katolickich kwitnie sobie w najlepsze. Na korzystne załatwienie tej sprawy nie trzeba było żelaznej miotły Stalina, bo wystarczał prosty rozum chłopski.

*

Według mnie pragnienie totalizmu wypływa w pierwszym rzędzie z nieznajomości życia. Artykuł p. Dworaka jest tego najlepszym dowodem. Przedstawia nam korzyści totalizmu w ten sposób, że jest ktoś, który „powinien" regulować zatargi, mieć plan, rozum i siłę itp. Gdyby nakazy z rodzaju „powinien" kierowały życiem, to po 19 wiekach nauczania powinności z ambon Europa byłaby już pustynią, bo wszyscy jej mieszkańcy za swoje postępowanie cnotliwe, byliby już dawno żywcem porwani do nieba, chyba żeby zabrakło stelmachów, wyrabiających wozy ogniste. Ta naiwna wschodnia wiara w nakaz, to co nam Francuzi zarzucaią, że chcemy prawo zastąpić ustawą czy rozporządzeniem (*remplacer le droit par la loi*), jest pierwszym dowodem nieznajomości życia i nieliczenia się z rzeczywistością.

Lepiej poszło totalistom, oddającym swoją duszę elicie. Kiedy o tej elicie poczyna już być głośno, grupa ludzi, ogłasza się elitą. Ale nie wszyscy totaliści znajdują się w tej grupie i stąd dąsy i krytyka. A przecież, kto zna ludzi i życie, ten wie, że na lepszą elitę nie łatwo się zdobyć. Mamy bowiem bardzo słabe głowy i lada powodzenie uderza nam na mózg mocniej niż alkohol. Prawie każdy z nas w zaraniu życia był cudownem dzieckiem, a później, kiedy wyróżnił się czemkolwiek bądź, choćby w Psiej Wólce, staje się wielkością, której nie można pomieścić w żadnych ramach. Uznaje, że porządek powinien być, prawo również i to surowe dla wszystkich, wyjąwszy jego jednego. A tytułów do wynoszenia się nad innych jest tyle, że pamiętam nawet garbusów, którzy swoje kalectwo uważali za tytuł do wynoszenia się nad masę prosto kręgową. Gdy więc każdy z nas uważa, że prawo wspólne dla wszystkich powinno w pewnych okolicznościach zrobić dla niego wyjątek, okazałoby się że w Polsce trzeba od każdego prawa odstępować tylko w milionach wypadków. Cóż więc można myśleć, czego oczekiwać od nielicznej, może zaledwie kilkutysięcznej grupy, jeżeli ta grupa nie będzie skrępowana i wprost okiełznana przez inne grupy?

(D. c. n.). JAN ZAMORSKI

O BEZPIECZEŃSTWO PUBLICZNE

PORUSZAM dziś temat specjalny, ale ważny i zawsze aktualny.

Przeczytałem wszystkie, jakie dotąd opracowano, referaty budżetowe polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o policji. Spotykam się tam stale z twierdzeniem: policji jest za mało. Istotnie wedle etatów, uwzględnianych np. w budżecie na r. 1937/38, mamy 876 oficerów, 28.852 szeregowych i kandydatów kontraktowych, 291 urzędników i 653 funkcjonariuszów niższych. Razem na 34 milionowe państwo — 30.672 osoby w służbie policyjnej, to nie wiele. W porównaniu z innymi państwami Polska ma policji stosunkowo mniej od większości państw europejskich. Polska nie jest — jak to słyszałem z ust nieżyjącego już ministra—państwem policyjnym. Tak, sądząc z ilości policji, Polska nie jest państwem policyjnym. Ale czytałem już przed laty artykuł prof. Stan. Grabskiego w katowickiej „Polonii" o państwie policyjnym i o Polsce. Prof. Grabski nie liczył głów policjantów, a oceniał system rządów i wpływ policji na życie społeczne i polityczne społeczeństwa i doszedł do przekonania, że Polska—właśnie jest państwem policyjnym, chcć ma tak mało policjantów.

Spór trwa dotąd.

Policji jest za mało.

Mam przed sobą statystykę sądową za lata ostatnie. Biorę rok już zamknięty i obliczony: 1935. W roku tym zameldowano w policji 472.287 kradzieży—wyroków sądu w sprawach o kradzież było 179.664, za tym około 40%. Wiadomo, że do policji dochodzi tylko stosunkowo niewielki ułamek meldunków o dokonanych kradzieżach. Nie omylę się zbytnio, jeśli stwierdzę, iż zaledwie 10—15% złodziei pokutuje za niegodziwy postępek. Cóż dziwnego, że zalewa nas fala kradzieży, że rośnie bandytyzm. A przecież prócz złodziei i bandytów mamy mnóstwo innych przestępstw. W r. 1935 zameldowano policji: 3.104 podpaleń, 1.672 zabójstwa dokonane i 1.659 zabójstw usiłowanych, 17.215 ciężkich uszkodzeń ciała, 1.917 wypadków rozboju, 27.584 oszustwa, 9.110 wypadków paserstwa, 932 dzieciobójstwa, 6.003 wypadków oporu władzy, 2.596 wypadków puszczania w obieg fałszywych pieniędzy, 5.942 fałszerstwa i t. d.

Dla walki z tą, ciągle rosnącą, falą przestępstw karnych, do których dołączyć jeszcze należy przestępstwa t. zw. skarbowe i administracyjne (handel nielegalny wódką, przemyt, ruch na drogach i rzekach i t. p.), potrzebną jest istotnie cała armia dobrze wyszkolonych policjantów. Armii tej winno nieść pomoc społeczeństwo. Interes społeczeństwa jest zbyt jasny, aby kto-

kolwiek mógł się wahać przy współdziałaniu w tych sprawach z policją.

A jednak wciąż płyną skargi policji na społeczeństwo: złodzieje, fałszerze, bandyci znajdują pomoc w społeczeństwie. Akcja policji natrafia na opór w społeczeństwie. Nie zamykajmy oczu na to, iż tak istotnie jest. Każdy z nas był nieraz świadkiem aresztowania jakiegoś przestępcy— ileż to razy tłum stanął po stronie aresztowanego! Tłum ludzi uczciwych, a nie mętów, jak to czasem się dzieje w większych środowiskach. Jest dla nas jasne, iż policja nie cieszy się popularnością w masach. Jest nielubiana. Aresztowania, dokonywane przez policję nie są przez ogół uważane *a priori* za usprawiedliwione, za dokonywane zgodnie z sentymentem społeczeństwa. To w konsekwencji wywołuje opór i pomoc dawaną przez przygodnie zebrany tłum ludziom, niegodnym obrony. To jest niedobrze.

Należy usunąć rozdźwięk między pojęciami społeczeństwa i policji o jej zakresie prac, jej obowiązkach, prawach, celach. Nie powinno ono widzieć w policji ręki aktualnego rządu, politycznej ręki rządu w rozgrywkach o władzę, lecz stróża bezpieczeństwa publicznego i bezpieczeństwa spokoju, życia i mienia obywateli.

Trzeba dużego wyrobienia, aby raz mieć zaufanie do policjanta, a drugi raz go nie mieć, aby współdziałać z nim w zwalczaniu zbrodni pospolitej, a unikać zetknięcia się z nim jako przedstawicielem politycznej, partyjno-politycznej władzy. Nie każdy na taką dyscyplinę myślową się zdobędzie.

Trzeba szukać drogi wyjścia.

Nie wierzę w szybkie zastosowanie środka zasadniczego i jedynie skutecznego: w zniesienie nadzoru policyjnego nad życiem politycznym stronnictw, stojących na gruncie państwowym. Zastosowanie tego środka będzie możliwe w chwili powrotu życia politycznego kraju do warunków normalnych. Policjant, tępiący tylko żywioły wywrotowe, antypaństwowe i żywioły przestępcze, rychło nawiąże żywy, życzliwy kontakt ze środowiskiem, w którym pracuje. Nie będzie się obawiał o życie swoje. Będzie miał dużo czasu na właściwą robotę.

Takie załatwienie sprawy, jedynie właściwe, nie jest w tej chwili możliwe. Trzeba więc szukać środków zastępczych, z natury rzeczy połowicznych. Może być takim środkiem zorganizowanie straży gminnych, nie nocnych wart, jak to jest obecnie, ale zawodowych i oczywiście opłacanych straży i strażników. Będzie to jednak środek i drogi i — zwłaszcza z początku — mało skuteczny. Nowi strażnicy muszą zdobyć praktykę w nowym zawodzie, a to nie jest łatwe, pozostaje za tym środek taki: pomnożenie etatów policji kryminalnej i ściślejszy podział korpusu policyjnego na polityczny i kryminalny.

Zdaję sobie sprawę z niedoskonałości i z połowiczności proponowanych przezemnie środków zaradczych. Każdy jednak, który styka się zwłaszcza po wsiach z wielu ludźmi i słyszy ich opowiadania, musi dojść do wniosku: Polska nie może stać pod terrorem złodziei i bandytów. Po dniu, spędzonym w pracy, każdy chce spać spokojnie. Na straży spokoju winna stać policja. A tej dziś za mało.

STANISŁAW RYMAR

JEST METODA W TYM SZALEŃSTWIE

O, wielki Stalinie, O, wodzu narodów!
Ty, któryś dał życie człowiekowi,
Ty, który użyźniasz naszą ziemię,
Ty, który odmładzasz wieki,
Ty, który każesz wiośnie zakwitać kwiatem,
Ty, któryś wprawił w ruch struny harmonii...
. . . .
O, wspaniałości mojej wiosny!
O, słońce odbijające się w milionach serc...

— („Prawda“ 28.VIII.1936 r.

OBOK KSIĄŻKI Gide'a i Céline'a, zdzierających w sposób całkiem niedwuznaczny maskę ze współczesnej rzeczywistości sowieckiej, zwraca na siebie uwagę również wydana w ostatnim roku książka Victora Serge'a [1]) Książka Serge'a nie będzie może równie poczytną jak *„Retour de l'U.R.S.S.“ i „Mea culpa“*, przede wszystkim dlatego, że autorowi brak lekkości stylu tamtych dwóch pisarzy, lecz jest za to bez porównania głębsza. Gide i Céline ujrzeli prawdę Rosji z okien wagonu, Serge przeżył ją w lochach czerezwyczajki i wśród zesłańców partyjnych. Komunizm tamtych dwóch był zawsze komunizmem na papierze, odmianą proletariackiego snobizmu i taniego doktrynerstwa. Serge należał natomiast do ludzi, którzy rzeczywiście walczyli w szeregach rewolucji sowieckiej. Jeżeli Gide, wróg opartej na dogmatach moralności cofnął się z okrzykiem wstrętu w obliczu rozprężonej i nie znającej żadnych hamulców amoralności, jeżeli autor „Podróży do kresu nocy” znalazł za swoją nocą noc jeszcze ciemniejszą, wobec której jego noc wydała mu się białym dniem — nie odczuwamy dla tych pokojowych“ rewolucjonistów żadnej litości. Inna sprawa z Serge'em. Serge nie przestał być rewolucjonistą i nie odwołał niczego ze swych dawnych wierzeń. Nie poszedł na ugodę i kompromis. Jako jednostka stojąca na przeciwnym — niż my — krańcu myśli, a dziś pod obuchem rzeczywistości złamana, budzi — mimo wszystko — sympatię i współczucie.

Tyle co do osoby autora. Jego książka daje krótką historię ewolucji, którą przeżyła rewolucja październikowa. To co jest ostateczną konkluzją

[1]) Victor Serge *„Déstini de révolution” Grasset, Paris 1937.*

Wielki czas odnowić przedpłatę na r. 1938. Warunki i adres na końcu numeru. Przypominamy też o zaległościach.

Gide'a — owa rozbieżność między rzeczywistością a marzeniem w dziale — że tak powiem — spraw materialnych, jest dla Serge'a tylko punktem wyjścia. Serge nie płacze dlatego, że podaż nie dorównuje konsumpcji, że produkcja sowiecka nastawiona jest na wynik liczbowy lecz nie na jakość, że możność nabycia przedmiotów pierwszej potrzeby w dostatecznej ilości nie mieści się w granicach „legalnych" budżetów 95% obywateli sowieckich. Jest źle — to prawda — ale w tym tkwi tragedia „zdradzonej" rewolucji.

Doktryna Lenina opierała się na dwu zasadniczych podstawach: na dążeniu do rewolucji wszechświatowej, na mistycznej wprost wierze w dziejokształtną rolę proletariatu robotniczego. Lenin nie był za grosz demokratą. Jego teza o dyktaturze proletariatu wprowadzała nie tyle hegemonię klasy nad klasą, ile stanu nad stanem. Kategorie rozumowania Lenina były bardzo nieskomplikowane: nie mieszał wody w szklance ale chciał szklankę odwrócić dnem do góry...

Układ sił, w którym jeden stan bierze na siebie „ciężar" władzy, prowadzi zawsze do anarchii i reakcji. Anarchistycznym było państwo szlacheckie, w którym stan rycerski myślał tylko o rządzeniu zamiast o wojowaniu. Od anarchii zaczęły się rządy miliona robotników w wielomilionowym państwie rosyjskim. Rolę całego proletariatu robotniczego musiała przejąć na siebie partia. Rolę partii przejęła w koniecznym następstwie wypadków — grupa biurokratyczno-urzędnicza.

Bez wątpienia Serge nie rozumie tej ewolucji. Skłonny jest raczej sądzić, że ślepe fatum, które prześladuje wszystkie rewolucje, kazało zjawić się biurokracji na gruzach partii. Tymczasem jest to proste i nieodłączne następstwo mechanicznych koncepcyj rządów grupy outsiderów. Tylko społeczeństwo narodowe zdolne jest wyłonić z siebie żywą reprezentację, natomiast rządy klasy — a więc grupy formującej się na zewnątrz żywego społeczeństwa stają się nieuchronnie rządami kliki, ta zaś odgradza się od społeczeństwa pomostem urzędniczym.

Rządy kliki odznaczają się falą porachunków i zamaskowanych walk wewnętrznych. Niezmiernie ciekawe są dane Serge'a, dotyczące losu socjalistów, komunistów i anarchistów, przedstawicieli grup „lewych" (trockistów) i „prawych" (oportunistów) w Z. S. R. R. Padają dziesiątki i setki nazwisk ludzi, którzy dawniej walczyli w pierwszych szeregach rewolucji a dziś zamknięci są w obozach koncentracyjnych, zsyłani lub pozbawiani dowodów osobistych, co stanowi swoistą i wyrafinowaną szykanę biurokratycznego światka.

Serge oskarża Stalina o to, że pozbawia się dawnych współpracowników i pielęgnuje biurokrację, która grzebie rewolucję. Specjalny rozdział książki poświęcony jest kultowi wodza, kultowi stanowiącemu dziękczynną odpowiedź wdzięcznej biurokracji. Jak każdy sztuczny i nieszczery odzew tego typu, przykłady przytoczone przez Serge'a stoją na pograniczu bluźnierstwa i najwyższej głupoty. Jeden z wierszy, które chcą kreować dyktatora Rosji na stwórcę ziemi, podaję na wstępie artykułu. Pisarz Awdiejenko wygłasza odczyt, w którym powtarza co parę zdań: „Dziękuję ci, Stalinie, dziękuję za to, że się dobrze czuję, za to, że jestem wesół itp." a kończy zapewnieniem: „Moja żona oczekuje dziecka. Pierwsze słowo, które ono powie będzie brzmieć — Stalin!". Film sowiecki przedstawia dziewczynę sowiecką marzącą o tym, aby mieć dziecko z najukochańszym wodzem, słońcem, ojcem najmiłościwszym... Dotychczas — o ile wiem — Stalin nie spływał na tęskniące niewiasty ani jako złoty deszcz ani też ich nie porywał, przybierając na siebie postać byka!

A wreszcie sprawa „nacjonalizacji" rewolucji. W myśl zasad Lenina rewolucja sowiecka miała mieć charakter wszechświatowy. Wprawdzie teza Marxa przewidywała jej wybuch nieuchronnie wszędzie gdzie istnieje kapitalizm, w praktyce okazało się jednak, że takie determinizmy socjologiczne istnieją tylko na cierpliwym papierze. Wtedy Sowiety poczęły popierać każde zarzewie rewolucyjne a nawet wręcz atakować dalekie od komunizmu państwa, aby sztucznie wytworzyć proces mający przecież wyniknąć całkowicie samorzutnie. Posłuszny filozof-teoretyk Bucharin (którego „Teorię materializmu historycznego", stanowiącą, zaiste, szczyt głupoty i nieuctwa, wydano w zeszłym roku po polsku) opracował tezę, która uprawniała rewolucję rosyjską do orężnej walki z Polską w imię zasad powszechnej pacyfikacji! W 1918 oddziały sowieckie wspierają czynnie rewoltę finlandzką, bawarską i węgierską oraz próbę rewolucji w Berlinie. W 1920 następuje marsz na Warszawę i stworzenie polskiego komitetu rewolucyjnego z Marchlewskim i Dzierżyńskim na czele. Sypią się pieniądze dla Kemala paszy. W 1923 partia komunistyczna mobilizuje swoje siły dla wsparcia drugiej rewolucji niemieckiej, zaś Komintern stara się podpalić Bułgarię. W 1927 komuniści przerzuceni są do Chin, zaś Blücher (obecny marszałek) maszeruje na czele sił Kuonmitangu na Szanghaj. Jednocześnie Sowiety współpracują w utworzeniu mongolskiej republiki Tana-Tuwa, która staje się protektoratem bolszewickim.

Od czasów Stalina, Serge stwierdza stałe cofanie się i odstępowanie od zdobytych stanowisk. Zawarte zostały pakty z Francją i Czechosłowacją. Wycofano się z walki z faszyzmem i hitleryzmem (fakt ciekawy: Serge twierdzi, że nigdy prasa sowiecka nie atakowała Mussoliniego osobiście). Rozrasta się armia czerwona wynosząc w 1926 r. 600 tys., w 1934 — 940 tys. w 1936 — 1.500 tys. ludzi (nie bardzo rozumiem w jaki sposób godzi Serge swoje oburzenie wobec militaryzacji kraju z entuzjazmem jaki wyraża, mówiąc o marszu na Warszawę). Rewolucja zamyka się coraz ekskluzywniej w granicach Rosji, Stalin zaś miał się wyrazić do dziennikarza amerykańskiego, że wiara w wszechświatowość rewolucji jest tragi-komiczną pomyłką.

Spostrzeżenie Serge'a jest najzupełniej słuszne. Rewolucja sowiecka jest już dziś rewolucją rosyjską choć przez to nie przestała być ani trochę mniej niebezpieczna dla innych państw. Może nawet jest obecnie niebezpieczniejsza.

Aby to wyjaśnić muszę zaznaczyć, że zawsze dzielę komunistów na utopistów i realistów. Utopiści—w stylu Trockiego czy Serge'a (przeważnie żydzi) wierzą przeważnie w twórczy charakter destrukcji... Ich hasłem jest zniszczyć wszystko co się tylko da zniszczyć, przypuszczając, że w ten sposób staną wobec zrealizowanej utopii. Że zaś ta utopia istnieje tylko na papierze lub w marzeniach—łatwo ją uczynić prawdopodobną.

Realiści natomiast są empirystami. Doświadczenie każe im modyfikować i zmieniać punkty,

które przeczą życiu. Narażają się przez to często na miano zdrajców, lecz jeżeli zdradzają ideę, pozostają wierni prawom bytu. Stąd zwrot Stalina do wsi, zwolnienie a właściwie zniszczenie zupełnie koncepcji kolektywizacji, militaryzacja, nacjonalizacja...

Ten komunizm zmodyfikowany przesącza się poprzez komórki Kominternu do innych krajów. Działa pod pokrywką frontów ludowych czy demokratycznych. Nie mając w sobie cech antyczłowieczych, przeciwnie—wzywa do współpracy, podejmuje chętnie hasła narodowościowe a nawet—jak we Francji—religijne. Pod wpływem realistów przekształca się socjalizm nabierając swoistych tonów (*de Man*) i wybierając sobie z obowiązujących dotychczas z siłą dogmatu dzieł Marxa tylko rzeczy dające się wcielić w życie. Nie trzeba chyba dodawać, że z myśli autora „Kapitału" nie zostaje właściwie nic.

Ten nowy marksizm jest w rzeczywistości niebezpieczniejszy dla świata, gdyż operuje nie mrzonką ale konkretem. Tylko, że nie jest już tym czym był i dlatego „marzyciele" w stylu Serge'a rozpaczają nad zdradą.

Tytuł książki zdradza pewien mistycyzm u jej autora. Serge zaczyna zdaje się wierzyć, że jakieś fatum prześladuje każdą rewolucję, zsyłając na świat ludzi, którzy ją grzebią, zanim zrealizowała to, do czego dążyła.

Lecz w tej wierze kryje się błąd. To nie Stalin grzebie rewolucję ale Marx i Lenin swoim doktrynerstwem. Stalin ratuje to, co się jeszcze da uratować; robi to trzeba przyznać zabiegami dość skutecznymi ale i radykalnymi... Rewolucja zaś sowiecka była nie tyle rewolucją, bo pod pojęciem rewolucji rozumiemy zawsze jakąś zasadniczą zmianę—ile zmianą metod. Przewróceniem szklanki do góry dnem. Jedyna rewolucja, która naprawdę zmieniła podstawy bytu, wybuchła przed 19 wiekami i do dziś nie zrealizowała jeszcze swych wszystkich zasad.

JAN DOBRACZYŃSKI

„*ACTION FRANÇAISE*"
I MANIFEST KSIĘCIA DE GUIZE

JAN książę de Guize, prawnuk króla Ludwika Filipa jest od roku 1926, w którym umarł jego brat stryjeczny, książę Orleański, naczelnikiem francuskiego rodu królewskiego (*Maison Royale de France*). Bezkompromisowi nacjonaliści francuscy zjednoczeni przez Karola Maurras'a w „*l'Action Française*" nigdy nie podawali w wątpliwość, że książęta Orleańscy, którzy gdy żyła starsza linia Bourbonów, byli pierwszymi książętami krwi, są od śmierci Henryka V hrabiego de Chambord (1883 r.) prawowitymi pretendentami do tronu francuskiego. Pod tytułem sławnego dziś w całym świecie dziennika „*Action Française*" znajduje się zawsze wydrukowane oświadczenie księcia Orleańskiego stwierdzające: „Wszystko co narodowe jest nasze", zaś od 11 lat dodano jeszcze wyjątek z pierwszego manifestu księcia de Guize, dziedzica czterdziestu królów, którzy stworzyli Francję. Dla nacjonalistów francuskich, którzy pojmują Naród wszechstronnie, głęboko i realnie jest rzeczą bezsporną, że francuska osobowość narodowa utworzyła się w ciągu wieków i znalazła swój wyraz i swoje narzędzie w państwie, dzięki tradycjonalistycznej, antyparlamentarnej, decentralistycznej monarchii. Karol Maurras nie „wymyślił" abstrakcyjnie nowoczesnej doktryny nacjonalistycznej, lecz wyraził w sposób odpowiadający naszemu wiekowi zasady moralno-polityczne i ustrojowo-polityczne *ancien régime*'*u*.

Zjednoczona przez Maurras'a pod hasłem integralnego nacjonalizmu elita francuska, złożona z najlepszych przedstawicieli wszystkich warstw społecznych stanowi niebezpieczeństwo dla *régime'u* opartego na pryncypiach Wielkiej rewolucji. Zdolni do wszystkiego delegaci masońskich mafii rządzących od kilkudziesięciu lat Francją używają wszelkich sposobów, aby rozbić francuski obóz narodowy; morderstwa, procesy, wygnania i przekupstwa używane są do tego celu (najgłośniejszymi wydarzeniami stały się: zamordowanie Filipa Daudet'a, rozłam dokonany przez Georges'a Valois, wygnanie Leona Daudet'a i więzienie Karola Maurras'a). Trzeba się było spodziewać, że kompromitujący się coraz bardziej *régime* będzie coraz zajadlej zwalczał obóz narodowy; objęcie władzy przez żyda Bluma i przez Chautemps'a, mistrza intryg, zamieszanego we wszystkie skandale, wróżyło, że na narodowców francuskich, a w szczególności na nacjonalistów integralnych z „*Action Française*" zaczną padać ciosy i filtrowana będzie im trucizna. Uwięzienie Maurras'a i wysunięcie na „wodza" narodowców republikańskich pułkownika de la Rocque, opłacanego przez rządy z dyspozycyjnych funduszów politycznych—to były pierwsze kroki Bluma i Chautemps'a, „strażników instytucji i swobód republikańskich". Jednak Maurras po 250 dniach opuścił więzienie, a de la Rocque został zdemaskowany. Wtedy zrobiono nowy „*coup double*": przeciw „*Action Française*" zrobiono intrygę w otoczeniu księcia de Guize za pośrednictwem brata pułkownika de la Rocque, zaś przeciw sprzymierzającemu się z „*Action Française*" Frontowi Narodowemu wynaleziono „wielki spisek" tajnej organizacji „*cagoulards*" i przy tej sposobności uwięziono księcia Pozzo di Borgo, który zdemaskował pułkownika de la Rocque.

W manifeście ogłoszonym 22 listopada oficjalny organ książąt Orleańskich, „*Courrier Royal*", oświadczył, książe de Guize że *l'*„*Action Française*" jest „partją" i że „choć jej doktryna stawia jako konieczny postulat ustrój monarchiczny, lecz nauki jej szkoły okazały się nie do pogodzenia (*incompatibles*) z tradycjami Monarchii Francuskiej". Mętne jest w tym manifeście przeciwstawienie „doktryny" „*Action Française*" i „nauk jej szkoły" (*les enseignements de son école).* Książe de Guize nie wyjaśnia co ma do zarzucenia „*Action Française*"; w dalszym ustępie manifestu czytamy, że monarchia szanuje godność ludzką, jest ojcowska, dostępna dla wszystkich, że przez swą naturę jest nadpartyjna i „obca walkom, które potępia". Być może, że ten właśnie ustęp wskazuje, co książę zarzuca nacjonalistom z „*Action Française*", jednak są to bardzo mgliste i nieuzasadnione zarzuty. Zdaniem naszym trzy decydujące przyczyny kierowały redakcją ustępów manifestu zwróconym przeciw „*Action Française*". Przedewszystkiem „*Action Française*" została już przeszło dziesięć lat

temu dotknięta cenzurami papieskimi, które jej przeciwnicy starali się uzyskać przeciw niej już trzydzieści lat temu, których jednak nie zarządził ani Pius X, wysoce ceniący Karola Maurras'a, ani Benedykt XV. Dotąd te cenzury nie zostały cofnięte i bezwątpienia sprawa ta była bardzo przykra dla książąt Orleańskich; po dziesięciu latach mogły w ich otoczeniu przeważyć wpływy chcące reparacji między dynastją, a potępionym przez Piusa XI-go nacjonalizmem francuskim. Drugą przyczyną nieprzychylności wyrażonej w manifeście dla *„Action Française"* jest konkurencja ze strony *„CourrierRoyal"*. Hrabia Paryża jedyny syn księcia de Guize, jest młodym człowiekiem doskonale przygotowanym do czynnej polityki, jest on tak *au courant* spraw politycznych i wszystkich zagadnień we Francji, jakgdyby miał za chwilę wsiąść do aeroplanu (nawiasem mówiąc jest doskonałym pilotem) i polecić do Paryża, aby tam rozstrzygać o losach kraju. Ten nadmiar aktywności i zainteresowań wyładowuje się w kierowaniu własnem pismem *„Courrier Royal"*, które wychodzi w Paryżu (*adr. 14 Avenue Hoche)* i w książkach (*„Essai sur le gouvernement de demain"* i *„Le prolétariat")*. Współprawnicy własnych wydawnictw hrabiego Paryża współzawodnicząc i osobiście i o wpływy tych wydawnictw z *„Action Française"* nie usposabiają zapewne dobrze hrabiego dla ruchu kierowanego przez Maurras'a. Wreszcie jako trzeci moment w tej sprawie podnieść trzeba, że od kilku lat sekretarzem osobistym hrabiego Paryża jest hr. Pierre de la Rocque, rodzony brat skandalicznie skompromitowanego pułkownika.

Kierownicy *„Action Française"*, ludzie stojący na szczytach kultury politycznej i kultury *tout court*, doświadczeni w ciągu dziesiątków lat bojów o ideję, zajęli wobec manifestu stanowisko bardzo zrównoważone i jednocześnie stanowcze. Karol Maurras, zawsze stwierdzał, że pretendenci do tronu nie ponoszą odpowiedzialności za doktrynę i działalność *„Action Française"*, że ta ostatnia „nie mówi do francuzów: przyjdźcie do mnie, lecz — przyjdźcie do króla". Nie chcąc poruszać najdrażliwszych spraw i kwestji osobistych kierownicy *„Action Française"* wskazali, że godne pożałowania, przez wprowadzenie zamętu i bezpodstawność, zdania manifestu księcia de Guize są skutkiem niedostatecznej orientacji politycznej, wynikającej z przebywania na wygnaniu i perfidnego wpływu braci de la Rocque. Akcentując rolę Pierre de la Rocque'a wskazała *„Action Française"* księciu drogę do załagodzenia sytuacji i wyjścia z niejasnego położenia poprostu przez usunięcie z otoczenia jednej osobistości; podobny zatarg z powodu intryg osobistych miała już *„Action Francaise"* za życia księcia Orleańskiego w r. 1910, ale wtedy położenie nie było skomplikowane wyżej wskazanymi dwoma momentami. Karol Maurras odrazu w komentarzu do manifestu podkreślił, że po za krótkim ustępem zawiera on poprostu *„l'essentiel"* tego, co *„Action Française"* głosi od lat 40 i podkreślił także Maurras, że *„Action Francaise"* nie jest partją,lecz wielkim ruchem narodowym przeciwnym partyjnictwu i rządom partyjnym. W artykule z dn. 26 listopada Maurras uzupełnił pierwszy komentarz do manifestu stwierdzając, że monarchiczność francuskiego nacjonalizmu integralnego wypływa z jego istoty i nie zależy od stanowiska jakie, wobec niego zajmują przedstawiciele dynastji. W sprawie „poszanowania godności ludzkiej" i potępienia walki Maurras odpowiada, że „gdy nieprzyjaciel publiczny rozporządza sześćdziesięciomiljardowym budżetem, to nie pokona go się kawałkiem masła nawet podanym na bułce" przypomina, że „Henryk IV wyciągał rękę, ale mając przy sobie silną armię i za sobą dziesięć zwycięskich bitew".

Tak się przedstawia sprawa ostatniego „doświadczenia", które dotknęło tak już przez różne ciosy wypróbowaną *„Action Française"*. Maurras jest człowiekiem niezłomnym, pełnym greckiego spokoju i rzymskiej stanowczości; stwierdza on z całą otwartością. „Wielkie przedsięwzięcie, jak nasze, musi znosić wielkie doświadczenia. Zawsze się ich spodziewamy. Przeciwstawiamy się im jak zawsze".

AUDUN

W POSZUKIWANIU NOWYCH DRÓG

W 1906 r. pisał niedoceniony należycie filozof francuski B l o n d e l, że integralnym warunkiem prawdziwego poznania jest czyn dokonany, czyn żywy. [1]) że „k a ż d y c z y n j e s t z a k r ę t e m h i s t o r i i p o w s z e c h n e j... (i) t r z e b a z a w s z e d z i a ł a ć t a k, j a k b y ś m y w ł a d a l i ś w i a t e m". [2])

Lata 1914—1918 wykazały w sposób aż nadto wyraźny prawdę tych proroczych poprostu słów Blondela, że najwyższym kryterium prawdy będzie zawsze czyn dokonany, czyn żywy.

Czyn zmienił mapę świata, czyn przeobraził umysłowość ludzką, czyn przeorał strukturę gospodarczą i polityczną społeczeństw.

Nie jesteśmy już dzisiaj ci sami co przed wielką wojną: jej wstrząs przeorał nasze umysły i wykazał w sposób jaknajbardziej oczywisty (d o ś w i a d c z a l n y w najściślejszym tego słowa znaczeniu) kruchość ideałów politycznych i spekulatywnych, którymi się karmili nasi ojcowie. Jeśli nie znikły one jeszcze zupełnie, jeśli jeszcze dziś tułają się epigonowie pozytywistycznej koncepcji świata, jeśli ta koncepcja predominuje jeszcze dziś w niektórych państwach, to albo te ideały są tylko maską dla pokrycia splotu najwstrętniejszych intryg egoistycznych wyzutych z wszelkiego patriotyzmu jednostek i organizacji tajnych, [3]) albo też mamy do czynienia z ludźmi głuchymi zupełnie na wielki eksperyment historyczny niedawnej przeszłości i w chwili obecnej.

[1]) Por. artykuł: *Le point de départ de la recherche philosophique* (*Annales Phil. chrét* 1906).

[2]) *L'Action* str. 352 (*Paris* 1893) Por. też mój artykuł: F i l o z o f i a C z y n u i M i s t y c y z m (Myśl Nar. 1930).

[3]) Wykazał to w sposób niezmiernie plastyczny mąż w którego rękach niejednokrotnie spoczywał los Francji — A n d r é T a r d i e u w dwuch pełnych głębokich perspektyw historycznych i politycznych książkach: *Le Souverain captif* (*Paris* 1936) i *Sur la Pente* (*Paris* 1935) Streszczeniem ich konkluzji i wyciągnięciem praktycznych wniosków jest rozprzedana się w200.000 egzemplarzy broszura*Alerte aux Francais Paris* 1936.

Odwrócenie się T a r d i e u'a od ideałów Wielkiej Rewolucji i parlamentarnej koncepcji rządów jest bodaj największą sensacją dla myśli politycznej francuskiej, zwycięzkim sprawdzeniem się prawdy nowych idei.

W łunach wzniecowych przez pociski pożarów, w trzasku karabinów maszynowych, w przewrotach społecznych i rewolucyjnych, rodzi się i sprawdza nowa myśl, nowa wiara, nowy światopogląd.[4])

I tak było zawsze. Prawda w jej żywej i konkretnej funkcji historycznej (prawda oderwana od historii i konkretu jest tylko czczym i pustym słowem!) odkrywała się i sprawdzała zawsze w walce: na polach bitew, w rozpoczynających nowe epoki i nowe cywilizacje rewolucjach, w walkach dnia codziennego, w dyskusjach i zebraniach (politycznych, religijnych, czy naukowych), w układzie stosunków ekonomicznych, w wykonywaniu funkcji publicznych i w intymności życia rodzinnego.[5])

[4]) Tragiczny konflikt hiszpański nie jest też w swej najgłębszej istocie niczym innym, jak tylko historyczną weryfikacją, (sprawdzeniem) prawdziwości ideału narodowego i chrześcijańskiego w stosunku do ideału materjalistycznego i międzynarodowego.

Mutatis mutandis to samo, z pewnymi zastrzeżeniami, można powiedzieć o rewolucjach narodowych we Włoszech i w Niemczech, które inaugurują odwrót od epoki, której kulminacyjnym punktem była rewolucja rosyjska z 1917 r.

[5]) Por. Antonio Aliotta; *L'esperimento nella scienza, nella filosofia, nella religione (Napoli* 1936) str. 38. To pełne oryginalnych i głębokich koncepcji dzieło stawia Aliottę na jednym z czołowych miejsc wśród współczesnych myślicieli.

To, co nie mogło zapuścić korzeni w życie, to, co wylęgło się tylko w jakimś oderwanym ruchu indywidualnej (czy grupowej) fantazji, przemijało jak efemeryda i żadnego śladu po sobie zostawić nie mogło i nie zostawiało.

To stwierdzenie podstawowego i radykalnego dynamizmu życia i jego prawd nie prowadzi bynajmniej, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło, do jakiegoś fatalizmu. Przeciwnie, nosi w sobie zaród najczystszego, najbardziej płomiennego optymizmu. Właśnie dlatego, że życie jest zmienne, utkane ze sprzeczności i przeciwieństw, płynne i plastyczne, bez żadnej ciągłości i związku, możemy zawsze spodziewać się, że może ono, z własnego impulsu lub na skutek interwencji czynnika nadprzyrodzonego, przybrać kształty zupełnie inne, nieskończenie wyższe od tych, w których się dotąd aktualizowało.[6]) „Nowe niebo, nowa ziemia, nowe życie" mogą wykluć się z obecnego chaosu, wykluć wysiłkiem naszej woli prowadzącej ją do wyższych przeznaczeń Opatrzności

Oto ideał nowej optymistycznej koncepcji świata — optymizmu utkanego z Wiary, Nadziei i Czynu.

[6]) Por. Adriano Tilgher: *Antologia dei filosofi italiani del dopoguerra* (*Modena* 1937) Pref. str. 16.

STANISŁAW CZAJKOWSKI

VUK KARADZIĆ

W LISTOPADZIE b. r. upływa stopięćdziesiąta rocznica urodzin wielkiego i pierwszego Jugosłowianina — Vuka Karadzića.

Kim był Vuk Karadzić i czemu wszystkie szczepy Jugosławii, wszystkie warstwy społeczeństwa i wszystkie odłamy polityczne, jednoczą się w chwili, gdy go uczcić przychodzi, czemu uroczystości jubileuszowe, pomyślane z olbrzymim rozmachem, trwać mają rok cały i ogarnąć cały kraj, kim był ten człowiek, bliski zarówno uczonym, jak prostym wieśniakom i co zrobił dla swego kraju?

Syn chłopa, który skończył zaledwie szkółkę powszechną, pastuszek pilnujący kóz i owiec klasztornych na obszernych pastwiskach serbskich, człowiek chory, kaleka, Vuk Karadzić był sędzią, nauczycielem książąt, tłumaczem Kodeksu Napoleońskiego, reformatorem języka, twórcą gramatyki i nowej ortografii serbskiej.

Vuk Karadzić urodził się jako szósty z kolei syn bogatego włościanina we wsi Trszić dnia 26-go października (według starego stylu) 1797-go roku. Rodzeństwo źle się chowało i po kolei wszystkie dzieci Stefana i Jegdy Karadzić umierały. Gdy więc urodził się ostatni z kolei syn, rodzice wierząc święcie, że to złe boginki zabierały dotychczas potomstwo, nadali mu imię Vuka co znaczy Wilk w nadziei, że nawet duchy ulękną się tak groźnego imienia i pozostawią go przy życiu. Widocznie rzeczywiście nie śmiały się do niego zbliżyć, bo chłopiec, choć niezwykle wątły i delikatny, rósł zdrowo i dożył bardzo późnego wieku. Ojciec chciał go widzieć w innych warunkach, niż sam żył i pragnął uczynić z niego kupca, albo duchownego, a chłopiec od najwcześniejszych lat okazywał niesłychanie silny pociąg do nauki i duże zdolności. Pasąc stada ojcowskie na polach i łąkach, nie rozstawał się z książką i każdego przechodnia prosił o wytłumaczenie mu nieznanych słów, lub pokazanie jakiejś nowej litery. O ile jednak nie był to duchowny, przeważnie odpowiedź brzmiała niezadawalniająco dla Vuka—przechodzień był zwykle niepiśmienny, należało się więc nadal samemu borykać z trudnościami alfabetu.

Wreszcie ojciec oddał go do małej szkółki w pobliskim miasteczku Loznice i Vuk uczył się pilnie, zadziwiając nauczycieli niezwykłymi zdolnościami. Niestety jednak nauka ta nie trwała długo, gdyż przyszła dżuma i dzieci zwolniono, Vuk musiał wrócić do domu.

Po paru miesiącach ojciec oddaje go do klasztoru w Tronoszy, ale i ten drugi etap nauki nie trwa długo, bo zakonnicy serbscy w owych czasach używali swych pupilów do wszelkich innych robót, a najmniej czasu poświęcali ich wykształceniu; po kilku miesiącach pasania kóz klasztornych, Vuk wraca do domu, gdyż ojciec jego nie bez słuszności rozumuje, że nie warto trzymać syna w klasztorze, jeśli nie przynosi mu to pożądanych korzyści, a w czasie jego nieobecności trzeba utrzymywać jeszcze pastucha do własnych stad.

Zaczyna się więc znowu życie pastusze, które nie przeszkadza jednak chłopcu uczyć się i pracować nad sobą w miarę sił i możliwości. Stefan Karadzić nie żałuje na książki i Vuk posiada dosyć poważną, jak na tamte czasy literaturę. Nie wystarczają mu jednak zdobyte wiadomości, choć ma już w siedemnastym roku życia opinię człowieka uczonego, jest poważany na wsi i nawet urzędnik turecki przybywający co roku po daninę od mieszkańców wsi, używa go jako sekretarza i sadza przy sobie na sofie na znak szacunku. Rodzice są ze swego syna dumni, ale Vuk nie jest zadowolony. Ojciec chce go wysłać do miasta, by tam przygotowywał się do zawodu kupca, lub do

klasztoru, by został duchownym, Vukowi żadna z tych koncepcji nie trafia do przekonania; w mieście są Turcy, z którymi woli uniknąć bliższego kontaktu, a pozostać duchownym też nie pragnie, bo kocha swą niezależność i nie chce się jej wyrzec. Prosi natomiast ojca o pozwolenie wyjazdu poza granice Serbii, do Sremu, gdzie podobno jest szkoła, w której uczą wielu rzeczy nowych, nie ograniczając się do Psałterza i Żywotów Świętych. Lecz tu spotyka się ze sprzeciwem i musi pozostać w domu aż do roku 1804-go, kiedy wybucha pierwsze powstanie Karadżordża przeciwko Turkom. Na wojnę idzie ojciec, ale zostaje dosyć szybko zwolniony i zamiast niego wzywają Vuka. który jako człowiek wykształcony potrzebny jest do kancelarii.

Kiedy powstanie upadło, Vuk niema do czego już wracać bo dom spalili Turcy, całe mienie Stefana Karadżića przepadło i wtedy wreszcie ojciec godzi się na wyjazd syna. Vuk Karadżić jedzie do Karlovca i tam dwa lata pracuje nad gramatyką niemiecką i łaciną i wreszcie w roku 1807-ym próbuje dostać się do gimnazjum, nie zostaje jednak przyjęty ze względu na wiek. Jest już za stary do szkoły, na pociechę mówią tylko, że i tak umie już dosyć jak na Serbię i może zostać równie dobrze kupcem, jak kapłanem, pisarzem, lub nauczycielem. Wyjeżdża więc do Belgradu, pracuje jako pisarz po kancelarjach, zwala go jednak z nóg, ciężka choroba, która wykreśla go raz na zawsze z pomiędzy tych, którzy mogą brać uczynny udział w walkach o niepodległość; od tej pory jest niemal przywiązany do swego fotela i może się poruszać tylko o kulaeh. Jak sam mówi, jest to jeden z powodów, że stał się pisarzem i zaczął pracować nad literaturą, Jakiś czas jeszcze jest nauczycielem w Belgradzie, potem sędzią w Brzej Polance, i wreszcie w 1813-ym roku musi, ze względów politycznych razem z Karadżordżem, opuścić Serbię i wyjeżdża do Wiednia. Tu już pozostaje do śmierci, z mniejszymi, lub większymi przerwami.

W Wiedniu spotyka się z Kopitarem, który staje się jego przewodnikiem i pomocą inspirując go w jego pracach i odgrywając olbrzymią rolę w jego karjerze. Kopitar, cenzor wiedeński, zwraca uwagę na Vuka, kiedy ten w piśmie *„Srpskie Novine"* drukuje swój pierwszy artykuł. Kopitara zadziwił język Vuka, jakiś inny od tego, jakim pisali wszyscy ówcześni literaci serbo-chorwaccy, język piękny i bogaty, pozbawiony obcych naleciałości. W Serbii ówczesnej o ile pisano wogóle, czyniono to bez żadnych zasad, język literacki nie miał jednolitości, lecz był mieszaniną serbsko-słoweńską lub serbsko-rosyjską; nierzadko spotkać można było dwie książki jednego autora pisane w dwóch różnych narzeczach.

Warto tu podkreślić ciekawy fakt, że nie od ludzi wykształconych przechodził piękny i czysty język literacki do narodu, lecz tego najpiękniejszego języka należało szukać właśnie w zapadłych wsiach, dalekich od wszelkich wpływów obcych i od miast, będących gdzieindziej centrami życia umysłowego.

Powodem tego były warunki polityczne, wielowiekowa niewola pod Turkami, których kultura i język były najzupełniej obce psychice słowiańskiej. Z nienawiści do Turków zrodzić się musiała reakcja, poszukiwanie wpływów na literaturę gdzieindziej, mianowicie w Rosji, w którą wierzono i której miano wiele do zawdzięczenia, Ci którzy wychodzili ze wsi, zapominali bardzo szybko o języku swego dzieciństwa; wydawał im się zapewne zbyt ubogi, zbyt prosty, by mógł znaleść swe miejsce w literaturze.

Vuk rozumiał i kochał ten jezyk, a że znał go najlepiej — więc pisał nim, tak jak mówił, jak myślał. Vuk żądał by literatura serbska oparta została na narzeczu ludowym i to na tym, którym mówiono między Morawą a Driną, gdyż język ten był według jego zdania najczyściejszy.

Reformę ortografii Vuk oparł na zasadzie, że w języku serbskim każdy dźwięk ma swój własny znak, ściślej swą własną literę: pisać należy tak, jak się mówi, wobec czego należy usunąć różne znaki pozostałe z języka staro-słowiańskiego, znaki nie odpowiadające dźwiękom. Co za tym idzie, Vuk wprowadza do pisowni poraz pierwszy litery, ń, l, ć, dź, dż, i, j. Są to litery wyłącznie serbskie, nie mające odpowiednika w alfabecie łacińskim, ani w kirylicy rosyjskiej.

Vuk, dziecko ludu, zachował to, co było czyste, język, którym mówili wieśniacy, a język ten zdumiał Kopitara swym bogactwem i pięknem formy. Pod wpływem Kopitara. Vuk pisze swą pierwszą gramatykę, następnie w roku 1818-ym wydaje słownik języka serbskiego, przez Kopitara i Grimma uzupełniony objaśnieniami niemieckimi i łacińskimi. Słownik ten, dzieło obszerne i starannie opracowane, jest nieocenioną kopalnią słów i wyrażeń, a zaopatrzony w objaśnienia etnograficzne, jest dziełem jedynym w swoim rodzaju.

Po nim idą tomy zebranych starannie pieśni i poezji ludowej, przypowieści, zagadek i bajek, cudowna skarbnica ludowej twórczości, następnie tłumaczenie Pisma Świętego, ortografia i t. p.

Koło roku 1825-go, Vuk spędził znowu jakiś czas w Serbii, kiedy to został wezwany przez księcia Milosza Obronovića w celu przetłumaczenia Kodeksu Napoleońskiego, potem był sędzią w Belgradzie i nauczycielem księcia, ale zrażony do niego i obrażony przez jego najbliższe otoczenie, pisze do księcia bardzo ostry list, w którym wytyka wszystkie jego błędy i musi opuścić kraj na długo. Podróżuje jednak często po Dalmacji, Chorwacji, Czarnogórzu, a potem i po Serbii, zbiera pieśni i stara się jeszcze dokładniej zgłębić język ojczysty.

Pisze prawidła językowe dla Chorwatów, gdzie podkreśla zupełnie podobieństwo zasad z językiem serbskim i ujednostajnia te zasady. Wreszcie zostawia niedokończony już zarys historii współczesnej Serbii, z adnotacją, aby rękopisu nie otwierano przed rokiem 1900-ym. Wytyka tam bez ogródek wszystkie błędy Miłosza i jego otoczenia i okazuje się doskonałym historykiem.

Vuk miał wielu wrogów. Jego próby reformy języka spotykały się z bardzo żywym sprzeciwem. Doszukiwano się w tym najgorszych następstw politycznych, występowania przeciw cerkwi prawosławnej i chęci wyzwolenia się z pod wpływów rosyjskich, przypuszczając jaknajgorsze tego skutki. Niezrażony pracował dalej, a wszelkie obawy, jak przyjmie to Rosja, okazały się płonne, gdyż Vuk był ceniony i rozumiany nad Newą, czego najlepszym dowodem jest choćby, to, że otrzymywał stałą pensję od Rosyjskiego Tow. Naukowego.

W roku 1864-ym, Vuk Karadżić umarł w Wiedniu, dokonawszy olbrzymiego dzieła reformy języka serbskiego, reformy, z której jeszcze nie umiano wówczas docenić.

Dziś ceni się w nim nietylko reformatora, ale i jednego z pierwszych twórców jedności jugosłowiańskiej, dzieła, którego znaczenia zapewne i on sam wówczas jeszcze niedoceniał. K. G.

NA WIDOWNI

O sens kultury. — Człowiek i jego twory. — Kultura podmiotowa i przedmiotowa. — Suchodolski jako filozof wychowania. — Dla czego dzisiaj pomija się zagadnienie kultury narodowej. — Działanie czy tylko pięknoduszność.

ZA JEDNO z głównych zadań ruchu umysłowego naszej doby uważam przezwyciężenie chamstwa. Teza ta wprowadza nas w sam środek zagadnień kultury.

Chamstwa nie należy utożsamiać z prymitywnością obyczaju. Chamstwem nazywam tupet uroszczeń do wysokiej kultury ze strony ludzi, nie mających tej kulturze nic do ofiarowania z siebie. O to chodzi, żeby nie być podobnym do parweniusza, który sobie mebluje wspaniałe mieszkanie, ale sam najlepiej czuje się w kuchni. Chodzi o to, że kulturą nie są kosztowne meble, marmury, dzieła sztuki same przez się. Punkt ciężkości kultury przypada na wnętrze człowieka; dziedziną kultury jest stosunek człowieka do zdobyczy cywilizacji.

Mniejsza o naiwność i niepokój duchowy Nowobogackiego, który nie wie co z dobrami kultury robić; dramat społeczny zaczyna się tam, gdzie tacy parweniusze chcą być prawodawcami kultury, gdy się dorwą do pióra lub do steru, gdy im wolno meblować po swojemu duszę społeczeństwa, reformować, przewartościowywać, budować.

Praktyka tego typu możliwa jest tylko w atmosferze prymitywnego poglądu na kulturę, jako na coś zewnętrznego, co może być nabyte za pieniądze lub pożyczone bez wyrównania z kulturą duszy człowieka, który z kultury przez innych wytworzonej korzysta, a nawet chce nią dysponować. Dobra kulturalne wtedy są czynnikiem twórczości, gdy je człowiek psychicznie i moralnie asymiluje.

Zagadnienie kultury stało się w czasach naszych dziedziną specjalnej gałęzi nauki o człowieku i społeczeństwie. Sprawa zyskuje na przejrzystości przy zastosowaniu odpowiednio wypracowanych metod. Dawniej biedzono się nad definicją kultury i stosunkiem jej do pojęcia „cywilizacji". Muszę powiedzieć o sobie, że dzisiaj nie dzieliłbym zagadnienia na bieguny kultury i cywilizacji, jak to czyniłem dla dogodności dawniej („O życiu i katastrofach cywilizacji"), wystarcza bowiem podział obszaru tego zagadnienia na 1) dziedzinę kultury podmiotowej (w człowieku) i 2) kultury przedmiotowej (w dziełach ludzkich). Nazwę cywilizacji można zostawić dla określania stylu całości obojga kultur w ramach narodowych i w powinowactwie z szerszym światem cywilizacji.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ukazała się niedawno bardzo interesująca filozoficzna książka Bogdana Suchodolskiego pt. „Uspołecznienie kultury".[1]) Nie kuszę się o krytyczne studiowanie całego obszaru poruszonych przez tego wybitnego myśliciela zagadnień, pragnę jedynie zainteresować czytelników tematem.

Rozprawy, składające się na dzieła zawartość, ogłaszane były przez autora w latach 1929—1936 w czasopismach, dostępnych ściślejszemu gronu ludzi oświeconych, przeważnie zawodowym wychowawcom (kwart. „Kultura i Wychowanie"); wszyscy jednak powinniśmy być wychowawcami, czytajmy więc Suchodolskiego.

Suchodolski, sam z zawodu wychowawca (polonista), studiom swoim zagranicznym (przeważnie w Niemczech — w zakresie filozofii, krytyki literackiej i pedagogiki) nadał kierunek specjalny, dążący do stworzenia systemu osobnej filozofii kultury, bodaj nauki o kulturze. Jest to dziedzina nowa, a trudna do uprawy popularnej choćby dlatego, że bardzo udeptana i walcowana potocznym użytkiem, nadawanym pojęciu „kultury". Ale dlatego właśnie tym potrzebniejsza.

Suchodolski dokonał w latach ostatnich ciężkiej pracy przygotowawczej. Mianowicie nie tylko zaznajomił się z literaturą przedmiotu, wytworzoną przez myślicieli obcych, ale położył podwaliny systemu polskiego przez usystematyzowanie tego materiału, który dało się dla danego zakresu ideologii odnaleźć w literaturze polskiej. Pisałem przed paru laty o znakomitych wypisach różnokątnego poglądu na świat myślicieli polskich. Można w tym mozolnie zebranym materiale doskonale się zorientować, jak w czasach nowszych myśl polska przedstawiała sobie stosunek człowieka do świata i swoje zadania twórcze. Dzieje zaś duszy ludzkiej, pracującej nad ustaleniem swego stosunku do siebie samej, do innego człowieka, do swego środowiska rodzimego, do wszechbytu i do Boga.

Oto teren zagadnień kultury.

W dziele obecnym, nie przedstawiającym całkowitego systemu, bo jest ono tylko zbiorem artykułów, autor — jak sam wyznaje w przedmowie — usiłuje znaleźć odpowiedź na pytania, dotyczące sensu kultury współczesnej, szczególną zaś uwagę zwraca na problem, który uznaje za najistotniejszy dla naszych czasów: czy i jak uczynić kulturę sprawą żywą i powszechną.

Materiał, przeznaczony do książki, autor ułożył w cztery grupy: 1) zagadnienia podstawowe, 2) kultura współczesna. Tutaj weszły rozprawy takie: Idea postępu, Praca jako zagadnienie kultury, Mit produktywizmu, Technika i kultura, 3) kultura elity i kultura ogółu (powszechność kultury, wielkość sztuki i odrodzenie kultury, (badanie i nauczanie), wreszcie 4) Nasza droga (refleksje, młodość i przyszłość, wychowanie realistyczne). Najszerzej potraktował autor dwie środkowe grupy, dwie zaś brzeżne obejmują zaledwie kilkadziesiąt stronic.

— — — — — — — — — — — — — — —

Wdzięczni autorowi za to, co dał, skoro książka nie jest wykładem systematycznym, nie możemy mieć pretensji do niego za to, czego nie dał, wszakże ostrzec należy, że nawet w zakresie oznaczonym w tytule, nie znajdziemy odpowiedzi na te wszystkie pytania, które by pragnęły kwestię zaktualizować. Gdy mowa w r. 1937 o uspołecznieniu kultury, należałoby oczekiwać poglądu na sprawę nowoczesnego odrodzenia życia społecznego przez zwekslowanie dążeń na tory nacjonalizmu. Fakt ten zmienia radykalnie „sens" kultury współczesnej przez wprowadzenie momentu idealizmu dziejowego, tak ściśle związanego z rozrostem osobowości. „Szukanie własnego wyrazu w czynnościach i myślach, którymi jesteśmy splatani z tradycją i społeczeństwem, stanowi pierwszy krok na drodze do kultury" — tak przecież mówi Suchodolski. (s. 11).

Na tym właśnie polega obecny ruch, zwany

[1]) Warszawa 1937. Wyd. „Rój". Stron 387.

rewolucją narodową, że wieczyste aspiracje narodu, który „szuka swego wyrazu” jako osobowość, biorą górę nad ideologią materialistyczną demoliberalizmu.

Suchodolski wiele miejsca poświęca analizie i krytyce ideałów tego starego świata, znajdujących swój wyraz w chorobliwym dążeniu do ciągnienia zysków z kapitału, w merkantyliźmie, w namiętnościach produkcjonizmu. Słusznie stwierdza, że taki układ życia „jest kulturą, która zmaterializowała i zobiektywizowała pojęcie życia człowieka, tzn. przeniosła jego sens z duszy ludzkiej w świat otaczający, wywyższając ponad wszystko technikę, organizacje, obliczenia, środki, zyski, które w związku z tym przeobraziły człowieka w siłę roboczą” itd. (211).

Autor ma rację. Kultura ma wtedy sens, kiedy sprzyja rozwojowi sił duchowych człowieka, kiedy pozwala mu być stworzeniem boskim i wyzyskać pełnię możliwości twórczych. Ale tu należałoby wymienić narodową kategorię uspołecznienia kultury. Suchodolski tego nie robi — i to jest dużym defektem książki.

Tutaj referent jest w kłopocie. Jak wytłumaczyć autora, dla którego ma wiele uznania? Suchodolskiego, autora innych dzieł i owych wypisów ideologicznych, nie podobna pomawiać o niewiadomość. Sprawa ma się inaczej. Gdy pisał książkę, był nauczycielem, teraz jest wysokim urzędnikiem w ministerium oświecenia. Książka taka nie mogła być pisana inaczej w mrocznej dobie, kiedy nad kulturą myśli polskiej ciążyła doktryna wychowania „państwowego”. Za zbrodnię stanu poczytywane było wymienianie wyrazów „naród” i „narodowy”. Suchodolski nie wypowiada się całkowicie.

Sprawa kultury, sprawa jej sensu inaczej się przedstawia ze stanowiska ideałów narodowych nacjonalizmu, ale przecież mamy przekazaną od Mickiewicza znakomitą syntezę celów kultury w pojęciu „człowieka wiecznego” i wskazanie, że syntezy tej szukać należy w działaniu.

Myśl Suchodolskiego pod ciśnieniem atmosferycznym błędnych pojęć politycznych szukała dla siebie ujścia gdzie indziej. On tę syntezę zdaje się widzieć w dziedzinie wzruszeń i pojęć estetycznych, podając na użytek wychowania szkolnego, że wielka sztuka zdolna jest obudzić człowieka i zespolić go społecznie z innymi ludźmi. (263).

Jeśli się zważy, że są to wykłady przede wszystkim dla pedagogów, to musimy wyrazić wątpliwość, czy nie lepiej w czasach obskurantyzmu kulturalnego, jak epoka Jędrzejewiczów, wstrzymać się od robienia wszelkich syntez. Bo gdy się miało po Mickiewiczu Libelta z jego rozprawą o odwadze cywilnej lub Goszczyńskiego o poświęceniu, gdy się miało już takie przykazania na temat „postawy” kulturalnej człowieka, chciałoby się widzieć w wolnej Polsce pełniejszą tego człowieka syntezę, niż to ustawianie go w pozycji „*Schöngeista*”.

— — — — — — — — — — — — —

Inne wady książki Suchodolskiego płyną stąd, że jest bardzo oczytany w literaturze filozoficznej Zachodu, a zwłaszcza niemieckiej. Stąd trochę przesadny w polskiej książce nacisk narzekań na przerosty tzw. „produktywizmu” oraz ideału pracy. Zapewne, w krajach przesadnie uprzemysłowionych i zurbanizowanych stan kultury jest chorobliwy. Ale u nas za mało się produkuje, za mało pracuje. Zadaniem polityki kulturalnej w Polsce byłoby tak pokierować rozwojem, aby uniknąć tej przesady, zapobiec niepotrzebnym przerostom, a jednak wytwarzać ile trzeba. Wszystko jest u nas do zrobienia. Ale dziś pozowanie na przesyt i przemęczenie wygląda tak, jakby biedak głodny stanął przed jadłodajnią i manipulował dla popisu wykałaczką.

Z książki Suchodolskiego można się bardzo wiele nauczyć. Erudyta, doskonały pisarz, posiada gruntowne wykształcenie filozoficzne i w tym świecie zagadnień kultury, niezmiernie bogatym a skomplikowanym, obraca się z całą swobodą.

Spostrzec można w omawianej książce ciekawą konsekwencję tego wyrobienia filozoficznego, mianowicie tę, że o ile z wielką biegłością operuje oderwanymi pojęciami oraz ideami, o tyle z konkretnymi faktami, jako historyk, nie umie sobie radzić. Nie mógłby sędzią być. Jeśli obok faktu istnieje legenda o kim, to pójdzie za nią, bo ta ma zasięg ideowy. Okazało się to w końcowych rozdziałach, gdzie autor uznał za stosowne złożyć hołd aktualności.

Bywają umysły, dla których idee są realniejsze, niż fakty.

ZYGMUNT WASILEWSKI

Z PRASY

O ODBUDOWĘ POLSKIEJ CYWILIZACJI

Prof. Karol Stojanowski, którego artykuł o zadaniach inteligencji podaliśmy w zeszycie poprzednim, zamieścił w „Kurierze Poznańskim” wywody dalsze, godne powszechnej uwagi.

POLSKI obszar cywilizacyjny—pisze on—skurczył się niestety bardzo poważnie. Cywilizację naszą wyparto całkowicie z olbrzymich terytoriów dalekich naszych kresów wschodnich. Rewolucja bolszewicka zlikwidowała całkowicie nasz dorobek cywilizacyjny na rosyjskiej Ukrainie, Wołyniu, Polesiu i Białejrusi. Fala tej likwidacji wdziera się niestety na kresy wschodnie, będące we władaniu Polski.

Wiele też strat ponieśliśmy na zachodzie. Pomijam tu likwidację wyspy westfalsko-nadreńskiej. Ale przecież obecna nasza granica zachodnia odcięła od Polski wiele polskich skupień, wydanych obecnie na łup germanizacji. Cywilizacyjne wpływy polskie w Gdańsku podcina się skutecznie na równi z wpływami politycznymi. Polskie Mazury stoją nad brzegiem przepaści, są prawie, że odcięte od polskiego wpływu kulturalnego. Wiemy też, na co narażeni są Polacy w Czechosłowacji.

Ale straciliśmy nietylko na przestrzeni zajętej ongiś przez polską cywilizację. Obniżył się także nasz poziom i nasza zwartość cywilizacyjna. Pierwiastki rozkładu zakradły się do naszych warstw wykształconych. Szerzą się one pod wpływem elementów internacjonalnych, przede wszystkim zaś są dziełem żydów.

Kurczy się w tych warunkach istotnie polska wytwórczość kulturalna. Jesteśmy świadkami obniżenia się poziomu literatury i sztuki, poziomu kultury życia zbiorowego.

A tymczasem—Polska ma wielkie w tej dziedzinie możliwości. Mamy duże zagęszczenie Polaków w granicach polskiego państwa. Polska od czasów piastowskich nie miała nigdy jeszcze tak wielkiego procentu Polaków, jak właśnie dzisiaj. To daje nam możność zawładnięcia polskim życiem cywilizacyjnym. Daje to nam przede wszystkim możność wyrzucenia żydów z polskiego życia kulturalnego

Jesteśmy poza tym świadkami rozpadania się Europy jako dość jednolitego do niedawna organizmu cywilizacyjnego. W postaci Sowietów wyrosła na wschodzie Europy nowa prowincja cywilizacyjna, którą można by nazwać prowincją eurazjatycką. Prowincja ta zerwała całkowicie z cywilizacją chrześcijańską, europejską a nawiązuje do wzorów azjatycko-mongolskich. Na zachód od nas powstaje na naszych oczach nowy okręg cywilizacyjny w postaci okręgu niemiecko-germańskiego. I ten okręg przejawia tendencje do zerwania z chrześcijańską starą Europą, a oparcia się o nowe pierwiastki.

Powstanie tych dwóch nowych okręgów w Europie niesie dla Polski nie same tylko niebezpieczeństwa, lecz także bardzo poważne możliwości natury zarówno politycznej jak cywilizacyjnej. Polska jest czymś cywilizacyjnie różnym od obu wymienionych okręgów. Nawiązuje ona zupełnie wyraźnie do europejskiego południa, będąc jakby pewnego rodzaju półwyspem cywilizacyjnym południa na północy

Dla ludzi, zajmujących się polskimi pradziejami nie jest taki stan dziwnym. W Polsce bowiem wbrew niemieckim sugestiom wpływy południowe zawsze przeważały nad wpływami północnymi. Zachowanie się i utrzymanie się tedy w Polsce katolicyzmu jest zjawiskiem odpowiadającym istocie bardzo starych cywilizacyjnych wpływów.

Powstawanie nowych prowincyj cywilizacyjnych w Europie ma dla nas tę dobrą stronę, że szereg mniejszych narodów i szczepów Europy środkowej i wschodniej nie chcąc wejść w orbitę wpływów dwóch wspomnianych nowotworów, będzie ciążyło do cywilizacji polskiej. Aby tak jednak było, cywilizacja polska musi być wysoka, oryginalna, zwarta i stylowa. Musi ona tym naszym mniejszym sąsiadom i pobratymcom imponować. Jeżeli polską cywilizację odbudujemy i nadamy jej swoisty styl, to rozszerzy się ona na szerszy pozapaństwowy i pozanarodowy teren.

Dzieła odbudowania i odnowienia polskiej cywilizacji może dokonać tylko cały, zorganizowany naród. Do rozmachu i pracy ludowych warstw polskich, zorganizowanych w Stronnictwie Narodowym, musi wnieść inteligencja swoje wykształcenie i swoją myśl. Synteza tych elementów w ramach ruchu narodowego, sterowanego przez Stronnictwo Narodowe będzie dźwignią rdzennie polskiej cywilizacji.

KAROL STOJANOWSKI

NAUKA I LITERATURA

„Z WYSOKIK TATER..."

UWAGI na temat tych wierszy [1]) pozwolimy sobie poprzedzić wzmianką, że o gwarze w literaturze i poezji toczyła się w „Prosto z Mostu" dyskusja między Janem Bielatowiczem a Karolem Ludwikiem Konińskim, zakończona przez tego ostatniego dwoma znakomitymi artykułami w „Myśli Narodowej" (n-ry 45 i 46), p. t. „O uprawianiu gwary" i „Czy pielęgnować gwarę". Świetny teoretyk kultury i sztuki prowadzi swoje rozległe, efektowne wywody do konkluzji:

„Czy utrzymywać gwarę? Utrzymywać, jako tworzywo poetyckie. W mowie codziennej i literaturze prozaicznej (publicystyce politycznej, gospodarczej, moralistycznej) będzie się gwara cofać—już zresztą cofnęła się ławą—i na to rady nie ma, a wszelkie pod tym względem przymusy (konwencjonalne) wobec pisarza ludowego byłyby nieodpowiednie..."

Gwara istetnie cofa się, maleje jej zasięg geograficzny i ubożeje zwolna jej swoistość leksykalna. Ten proces postępuje wskutek wpływu szkół i miast oraz dużych kompetencyj państwa, szerzącego działaniem swych instytucyj, językiem warstwy oświeconej, jednolity typ kultury.

Wielkiej poezji w gwarze nie mamy. Gwara bowiem ma charakter lokalny (w stosunku do całego narodu), regionalny i kulturalnie opóźniony.

Zasięg pełnego działania takich poezyj, jak Jana Mazura, ogranicza się oczywiście do Podhala. Posługując się materiałem popularnym i przeznaczając swe wiersze dla regionu ludowego, musiał J. Mazur utrzymać się na poziomie pojęć i w sferze wyobrażeń dostępnych i żywych dla niewykształconego podhalańskiego górala. Tej sztuki dopiął, ale więcej jeszcze zasługuje na uznanie to, że ułożył wiersze dobre, czyniące wrażenie autentycznego, pięknego wytworu duszy górala, pełnej ech i odblasków dominującej tutaj nad człowiekiem—przyrody.

Nigdzie bodaj tak nie uzewnętrznia się związek istoty ludzkiej z ziemią, jak w poezji. Dość przypomnieć sobie określenia tego związku w monografii o Kasprowiczu Zygmunta Wasilewskiego i w studium tegoż autora o „Pieśni w górach".

Dla nie-górala, dla człowieka wychowanego w polszszyźnie „literackiej", wiersze J. Mazura mają posmak egzotyki. Ta egzotyka może jednak dla tej właśnie „literackiej" publiczności z całej Polski stanowić pewną przeszkodę w głębszym rozumieniu tych utworów. Przyznam się, że zacząłem je poważnie brać i wysoko cenić — dopiero po przetłumaczeniu sobie kilkunastu kawałków na język ojczysty.

Np. zwrotka:

„Siklawic — cistyk
zwonionc—i huk
taktem po wantak
stalowym tłuk..."

przypomniała mi najlepsze piosenki Tetmajera, ale dopiero... w „przekładzie": siklawic czystych—dzwoniący huk—taktem po wantach—stalowym tłukł...

Geneza tych poezyj tkwi, co nam autor we wstępnym wierszu wyjaśnia, we współżyciu wrażliwej duszy z potężną przyrodą gór. To też Tatry żyją w tych pieśniach—pogodne i chmurne, lśniące od słońca i śniegu — i zawalone mgłami, wzywające do lotu w przestwór — to znów pełne błyskawic i łoskotu piorunów, albo posępne—od słoty. Liryki miłosne mają urok prostej zmysłowości ludowej. Świat uczuć i zagadnień tego skromnego zbiorku jest niezwykle zasobny. Kto lubi dobrą poezję, świeżą, prostą w przenośniach, łatwo dostępną, melodyjną — niech przeczyta „Z wysokik Tater". Niewielka ta książka ma też piękny wygląd graficzny.

Trzeba całkowicie przyznać słuszność skromnemu wynurzeniu poety:

No, fałas tyz Bogu,
zek toto wzdajoł;
bedom mieć ludziska
to, cego nimajom.

T. D.

[1]) Jan Mazur. „Z wysokik Tater wiaterny sum...", wiersze w gwarze podhalańskiej. Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa 1937. Str. 48.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Tadeusz Dworak. „Katolicki działacz społeczny". Poznań 1937, str. 28. Biblioteczka Akcji Katolickiej. Nr. 79.

Rozwijający się coraz bardziej w społeczeństwie pęd do organizowania jednostek i rodzin w Akcji Katolickiej, stwarza w miarę narastania młodych szeregów tego organizacyjnego związku, potrzebę specjalnej literatury instrukcyjnej, zawierającej pewną całość: zarówno wskazówek metodycznych, jak i cennych doświadczeń i wniosków z terenu, jak wreszcie—wymagań, stawianych samodzielnemu działaczowi—społecznikowi katolickiemu.

„Apostolstwo świeckich", naczelne hasło Akcji Katolickiej, to zasada trudna do zrealizowania w życiu — łatwiej

przecież daleko apostołowanie przychodzi duchownym, mającym powagę sukni i autorytet stanu. Nic więc dziwnego, że różnokierunkowa i wielopoziomowa jednocześnie, obejmująca całość zagadnień życia współczesnego, „totalna” działalność ludzi, podporządkowanych Akcji ma być nietylko ideowa, co oczywista, ale i umiejętna finezyjna niekiedy. Tylko wówczas trafić można z Dobrą Nowiną do wielu, nader zaniedbanych, różnego autoramentu neo-pogańskich środowisk, nie obcych nawet najwyższym szczeblom rzekomo kulturalnie zorganizowanej społeczności.

O tych ważkich problemach informuje nas autor w zajmującej broszurze, pisanej nietylko z rozumnym dydaktyzmem, ale i zawierającej niejedną ciekawą refleksję natury ogólniejszej, o społecznym albo psychologicznym aspekcie.

(ST. J.)

*

S. Ilf i E. Pietrow. „Ameryka jednopiętrowa”. Warszawa. Wydawnictwo Współczesne, str. 160.

Kulturalnie i zajmująco przez sowiecką spółkę autorską napisany reportaż z wycieczki na „Normandii” do Ameryki i z następnej włóczęgi turystycznej po Stanach.

Książka bynajmniej nie jest utrzymana w tonie zachwytu, wywołanego u przybyszów monumentalnością nowojorskiego studwu-piętrowego gmachu „*Empire State Building*”—owszem, Pietrow i S-ka, choć i dziwują się potrosze wszystkiemu, choć nie zawsze trafią po ciemku do sprytnie zakonspirowanych kontaktów od elektryczności w numerze hotelowym (p. „Nasi zagranicą”), przecież krytycznie patrzą na standaryzację codziennego życia w U. S. A. Nie smakuje im nawet *menu* restauracyjne: wszędzie to samo mrożone mięso, rodem z rzeźni chicagowskich, to samo solone masło ze składów jakiegoś wszechwładnego „króla masła”, monopolisty, dyktatora na rynku nabiałowym.

Jak widać, coraz mniej w bogatej i rozległej Ameryce satysfakcji dla poszukiwacza wrażeń, płynącej z charakterystyczności i indywidualizacji życia, rys, na który z trwogą dawno już zwracali uwagę wybitni pisarze za Oceanem, gdyż kryje on w swym łonie zapalne iskry gwałtownych przemian społecznych. Dokuczliwość niedostatku bowiem, kto wie, czy nie jest łatwiejszą do zniesienia, niż nuda, płynąca—ot choćby i stąd, że każde nieomal małe miasteczko w Stanach jest dokładną kopią, pod względem nazwy, urządzeń, nawet ulic i gmachów, Nowego Jorku czy Waszyngtonu.

To może najdosadniejszy przykład tamtejszej standaryzacji, seryjnej produkcji odrazu tam, czego się dotknęła ręka Yankesa. (ST. J.)

*

Pisaliśmy niedawno o powieści małżonków Rudnickich, zatytułowanej „Dziw”, a osnutej na pradziejach ziemi słowiańskiej, przede wszystkim zaś terytorium sławnego dzisiaj Biskupina. Pani Rudnicka obecnie spróbowała drugiej powieści w stylu archaicznym, ale wziętej już z epoki nie tak dawnej. Dlatego i stylizacja językowa już tu inna, wzorowana głównie na naszych zabytkach piśmiennych z w. XV, poczęści XIV.

Powieść bowiem ma za treść życie średniowiecza pozostającego pod wpływem kultury chrześcijańskiej: „Malerza raweńskiego owieczek dwanaście” brzmi tytuł. Motyw włoski, więc też tekst włoski dała autorka obok polskiego; porównanie tych dwóch tekstów jest bardzo interesujące: dwa style, zupełnie różne, świadczą o wielkiej skali środków artystycznych, jakimi rozporządza autorka. Opowieść sama z siebie bardzo poetyczna, przez tę stylizację — zarówno w polskiej jak i włoskiej wersji — staje się jeszcze bardziej poetyczną.

Oto naprzykład jak brzmią słowa, w których pani Jagnieszka, matka rycerza Macieja, czyni synowi wyrzuty, że się dotąd nie ożenił: „Miły synu! Czego dla nie pojmiesz sobie żony? Nie są li w okrądze dziewki nadobnego weźrze: nia a obyczajmi i cnotą okraszone? Słysz Macieju, wieliki smętek mię uciąża, przeto iże dzień mój śmiertny juże się ku mnie przybliża, a jeszcze dzinsia niżadnego twego miłego dzieciątka nie całowałam”.

Powieść pani Rudnickiej może stanąć obok dwóch podobnych eksperymentów naszej literatury: obok „Nad jeziorem” A. Gruszeckiej-Nitschowej i „*Ducissy Kunegundis*” Wasylewskiego. A powabu tej książce dodają piękne linoryty Tadeusza Cieślewskiego. Całość udatna i zasługująca na uwagę. (J. B—r).

*

Imponująca w swym poświęceniu i wytrwałości, a przez to i w wynikach swoich, jest (dobiegająca właśnie swego dwudziesto-pięciolecia) niezmordowana praca p. Mieczysława Haimana, kustosza Muzeum Polskiego w Chicago. Człowiek ten, cichy i nie szukający rozgłosu, gromadzi systematycznie wszelkie pamiątki związane z dziejami i zasługami polskiego osadnictwa w Ameryce. Samo Muzeum, zgromadzone i zinwentaryzowane głównie jego zabiegami, byłoby już dostatecznie wspaniałym pomnikiem jego działalności. Ale przecie ono jest tej działalności tylko cząstką. Bo oto p. Haiman jest nietylko zbieraczem pamiątek polskich, lecz ponadto historykiem polskiego wychodźctwa; zasługę tę jego ocenili już uczeni (np. W. Konopczyński, który powołuje się na niego w swej świetnej monografii o Pułaskim), natomiast do ogółu społeczeństwa polskiego jeszcze książki Haimana nie dotarły. A dotrzeć powinny, bo dają świadectwo tężyźnie polskiego ducha i zawierają treść arcyciekawą, w której mogliby znaleźć prawdziwą odżywkę ci, którzy szukają tematów do egzotycznych powieści. Oto właśnie ukazała się książka „*Polish Pioneers of Virgiinia and Kentucky*“ (nakł. *Polish Roman-Catholic Union of America, Chicago*), która jest prawdziwą rewelacją. Dowiadujemy się z niej, że polscy „pionierzy” przybywali na ziemię amerykańską w XVII i XVIII wieku, torując drogi cywilizacji pośród głuchych ówczesnych borów. Szczególnie na uwagę zasługuje rodzina Sadowskich, których nazwisko (przekręcone na Sandusky) stało się nazwą jednego z ważnych miast amerykańskich.

Genealogię tej rodziny, oraz wszystkie dane swej cennej książki, autor oparł na bogatym podłożu dokumentów historycznych. (J. B—r)

*

Zawsze mile witane książki powieściowe p. J. Marlicz (pseud.) pomnożyła obecnie nowa nader interesująca p. t. „Bezdroża”. Książnica-Atlas. Lwów-Warszawa. Str. 486. Zł. 11.—.

Cztery i pół tysiąca kilometrów, jak biegnie tor kolejowy poprzez miasta paniką objęte, poprzez stacje świeżo spalone o dymiących jeszcze zgliszczach, poprzez kraj niezmierzony, na który wali się już groza czerwonego teroru. Z Barnaułu po Władywostok, z dławionego pętlą wojsk bolszewickich miasteczka aż do portu, skąd zbawczy statek wywiezie uciekinierów w szeroki i nareszcie wolny świat, jedzie garstka pozbawionych domu i mienia rozbitków.

Rozlewna, szara Ob, nad którą świszczą kule, Krasnojarsk, gdzie bandy dezerterów szturmują do wagonów, Bajkał, który Sybiracy zowią Świętem morzem, i mroczna, tajemnicza, wroga tajga, — oto etapy dalekiej ich wędrówki. Wóz towarowy, przesuwany z toru na tor, służy im za chwilowe schronienie. Jego cztery ruchome ściany to scena, na której rozgrywają się przedziwnie losy bohaterów powieści, pełne powikłań życiowych, wezbranych uczuć i dzikich namiętności.

Jakże się poplątać potrafią życiowe ścieżki, jakie niespodziane zachodzą w życiu spotkania. Jakże się uczucie odnawia, jak gaśnie, jak się wikła i przeobraża. Bezdroża rewolucji, Sybir olbrzymi, na którym do ucieczki nie staje ludziom dróg—a kończy się to wszystko inaczej, niż ktokolwiek mógłby przewidzieć.

NOWE KSIĄŻKI

Strug Mikołaj. Miliardy. Warsz. 1937. Gebethner i Wolff.

Marlicz Jerzy. „Bezdroża“ Warsz. 1937. Książn.-Atlas.

Nowakowski Zygmunt. Gałązka rozmarynu. Wars. 1938. Książn.-Atlas.

Górski Artur. Niepokój naszego czasu. Warsz. 1937. Kom. Wyd. Skład gł. w księg. Arcta. Str. 317.

Koskowski Bronisław. Szkoła farmaceutyczna w Warszawie (1840—1857) Warsz. 1937. Str. 76.

Slavia. Casopis pro slovanskou filologii. Rocz. XIV (1936—37) zesz 4.

Dworak Tadeusz. Katolicki działacz społeczny. Poznań 1937. Str. 28.

Ammers-Kuller Jovan. Patrioci. Dzieje rodziny pewnego regenta amsterdamskiego, 1778—1789. Lwów — Warszawa. Książnica-Atlas.

Koźmiński Karol. Kamienie na szaniec. Z 12 rycinami. Książnica-Atlas.

Grabowski Tadeusz. Historia literatury polskiej. Od początków do dni dzisiejszych (1000—1930). T. I str. 400. T. II str. 488. Poznań 1936. Pozn. Tow. Przyj. Nauk.

Łempicki Stanisław dr. Polski ideał wychowawczy. Książnica-Atlas. Str. 40.

Z SALI ODCZYTOWEJ

NOWOCZESNOŚĆ PASCAL'A

W POCZĄTKACH listopada odbył się w Uniwersytecie trzeci i ostatni z cyklu wykładów goszczącego w Warszawie prof. uniwersytetu w Grenoble M. Jacques Chevalier: p. t. „Nowoczesność Pascala" *(„La modernité de Pascal")*.

Zarówno frapujący temat, jak i nazwisko prelegenta, wszechświatowej sławy uczonego, wreszcie oficjalny charakter wieczoru — stały się magnesem przyciągającym liczną i doborową publiczność.

— Czemu zawdzięczamy dzisiaj niewątpliwy renesans odległego od nas blisko o trzy wieki Pascala? — Jego współczesności, pokrewieństwom z duszą nowoczesnego człowieka?

Najwidoczniej, temu właśnie. Do tego stopnia, że ktoś się upierał, aby Pascal'a, bez obawy anachronizmu, zaliczyć do przedstawicieli najnowszej filozofii XX w.

Przez współczesnych sobie nie był tymczasem rozumiany. Coprawda nie starał się o to, aby stać się w pełni przez swą twórczość wyrazem epoki. Jego produkcja nosiła na sobie znamię ponadczasowości, trwałości i głębi prawd nieprzemijających, dalekich od problematyczności i zmienności. Dziwna rzecz, traktaty naukowe, matematyczne i fizyczne Pascal'a nie zawierają żadnego błędu, prostowanego przez potomnych, jak to ma miejsce np. z wielu najwybitniejszymi odkryciami ludzkiego umysłu. Niesłychana, wprost granicząca z wysokiego gatunku cnotą, uczciwość myślenia zagwarantowała tym dziełom to, że się do dziś nie zestarzały.

Ojciec Pascal'a, z zawodu także naukowiec, stosował w wychowaniu syna następujące zasady, wpajał je od zarania w umysł dziecka: w każdej rzeczy należy szukać praw przyrodzonych, naturalnych, jako najgłębszego prawa rządzącego; w bezpośrednim działaniu na powierzony umysł dziecka starał się wznosić go ponad zakres jego pracy, obarczać go bagażem umysłowo-moralnym ponad jego praktyczną, doraźną potrzebę.

Nota bene Pascal należał do rzędu t. zw. genialnych dzieci: już od 11-go roku życia robił ogromne postępy w matematyce i fizyce. Mając lat 16 (1640 r.), napisał coś w rodzaju traktatu, stanowiącego do dzisiaj jedną z podstaw geometrii rzutowej i perspektywicznej. W wieku lat 19-tu konstruuje pierwszy arytmometr, w dwudziestu jeden wykonywa słynne doświadczenie z próżnią, po raz pierwszy może w fizyce doświadczalnej konsekwentnie do końca doprowadzony eksperyment. Jego również pomysłu jest rachunek prawdopodobieństwa, wymyślony zresztą przez Pascal'a przy grze w karty, a będący żywem zaprzeczeniem posądzenia go przez współczesnych o słabość umysłową, wynikającą rzekomo z manii mistycznej, w jaką miał wpaść po napisaniu i wydaniu w 1654 r. największego swego dzieła filozoficzno-religijnego. Taki Paul Valéry—podobno—w rozmowie z prelegentem miał się wyrazić, że szkoda było Pascal'a dla mistycyzmu, właśnie dlatego, że więcej miała zeń pożytku matematyka i fizyka. Ta libertyńska zgryźliwość Valéry'ego wystawia jednak doskonałe świadectwo tego, co do dziś trzyma się o stanowisku Pascal'a w nauce mimo jego „mistycyzmu".

Ciekawe są jego filozoficzne rozważania na temat istnienia Boga, metodą następującą: przypuśćmy, że Bóg istnieje—to jest niezrozumiałe dla mnie, ze względu na słabość mego umysłu, który mnóstwa rzeczy poprostu nie pojmuje, co nie przesądza bynajmniej tego, że rzeczy niezrozumiałe jednak mogą istnieć.

W dalszym ciągu—nie istnienie Boga jest zato niezrozumiałe wobec samej natury rzeczy, niejako samo przez się. W tej samej sprawie Pascal odwołuje się do świadectwa zmysłów, ich mianowicie zgodności, gwarantującej nieomylność sądu—dowodów i tym razem, jak widzimy, zaczerpniętych, z tak zw. natury rzeczy. Tak np. halucynacja kompletna możliwa jest wyłącznie w razie ogólnego zatrucia organizmu, mniejsza o to w jaki sposób.

Powyższy pogląd, odnoszący się zapewne do bezpośredniego, mistycznego oglądania rzeczy nadprzyrodzonych przy pomocy zmysłów, śmiały niezmiernie, ale stawiający na właściwem miejscu godność także i fizycznej natury stworzenia, i dzisiaj, sądzę, nie jest do pogardzenia. Przytym interesująca metodycznie jest myśl przewodnia rozumowania, wyrażająca się w znanej konstrukcji: „Zestrój nie może być dziełem przypadku". Rozprowadzając to dalej, dochodzimy do oczywistej prawdy, że różne dowody, wskazujące na tę samą rzecz, nie mogą nas mylnie co do niej informować.

Dalsza koncepcja pozornie paradoksalna: człowiek jest punktem przecięcia dwóch nieskończonych — tego, co byśmy nazwali niczem i tego, co określimy jako wszystko. Ta niedoskonała istota jest w danej sytuacji środkiem równowagi: jest niczem wobec wszystkiego i wszystkiem wobec niczego.

Istotnie, zastanawiając się nad naturą człowieka, obserwując go, widzimy, jak staje się ofiarą swych namiętności, wszystkiemu każe sobie służyć, i wszystko do siebie w ciągu życia przyciąga—gdy umrzeć musi i tak sam jeden, jedyny (*et il mourra seul*). Człowiek jest godzien litości dla swych błędów, jest „najwątlejszą trzciną w naturze, gdyż łamie się pod ciężarem kropli deszczowej" — jednocześnie najwyższym ze stworzeń, ponieważ myśli i ma poczucie swego istnienia. Myśl jest drogocennym równoważnikiem jego słabości.

Dla Pascal'a najbliższą uczuciowo osobą Trójcy Św. jest Pan Jezus: nieskończenie niczem i nieskończenie wszystkiem—człowiekiem i Bogiem, transcedentnym i jednocześnie immanentnym.

W zakończeniu tych rozważań—pożyteczna wskazówka: człowiek może nawet nie rozumieć istnienia Boga, ale przez miłość winien poddać się przemożnemu działaniu Jego istoty.

A w odniesieniu do układu, w którym chcianoby zamknąć życie na ziemi—wszystkie ciała i cała materia, razem zebrane nie stworzą jednej nawet myśli, która jako produkt ducha jest poza ich sferą oddziaływania. Dopiero Bóg i człowiek tworzą układ kompletny, pełny, rządzący się twórczem prawem miłości.

ST. J.

NA MARGINESIE

— Teraz się pokazało, dla czego prof. Kridl traktuje polską literaturę zupełnie formalistycznie, bez zwracania uwagi na treść.

— Z powodu: esteta?

— On nie, ale żydzi są esteci, a polska treść jest im wstrętna.

*

— Jednakże ten wileński Kridl jest chyba antysemitą.

— Dla czego?

— Bo jest lewicowcem, a nie chce żeby na lewicy siedzieli sami żydzi.

*

My nie z soli ani z roli
lecz: z swawoli bez kontroli.
Jest to cnota nad cnotami
umieć kręcić—funduszami.

(„Słowo Narodowe")

POKŁOSIE

Z CHAOSU WYŁANIA SIĘ PLAN...

TYGODNIK niezależny, założony swego czasu przez G. K. Chestertona i noszący jego nazwisko tak charakteryzuje w jednym z ostatnich numerów zamieszanie i brak planu, panujące w angielskiej polityce zagranicznnj po wojnie:

„Całą naszą mocą popieramy odbudowanle Prus; uśmiechamy się znacząco na widok absurdalnego odbudowania Polski, wyraźnie nowego państwa, o którym jesteśmy pewni, iż nie przetrwa pięciu lat. Nowe Włochy traktujemy jako coś efemerycznego, a gdy grupa entuzjastów, która rozpoczęła nowy Reich, buduje flotę i drze w strzępy Locarno, jesteśmy przykro dotknięci tym dziełem naszych własnych rąk. Nie mamy nic przeciwko włoskiej polityce kolonialnej i dopiero gdy ta posunęła się dobry kawał drogi, nagle ogarnia nas odraza do rzeczy tak potwornej jak zajmowanie przez Białych terytorium ludzi Czarnych. Rzecz przeciw której buntuje się nasze sumienie. Od odrazy przechodzimy do gróźb i znów na włos od wojny uspakajamy się. Gdy rewolucja bolszewicka wybucha w Hiszpanii jesteśmy wszyscy do jej stronie, jako „rządu konstytucyjnego". Gdy naród hiszpański powstaje i zaczyna się pokonywanie bolszewizmu miotamy się z kąta w kąt to odżegnując się od wszystkiego, to znów przeszkadzając nacjonalistom w otrzymywaniu sprzętu, to się wahamy, to znów się wtrącamy, a zawsze działając o dziesięć minut za późno. Nie tylko wyczekujemy chwili, lecz czekamy, aż chwila sposobna minie. Bezwładnie dotaczamy się do rodzaju pół-sojuszu ze zbieraniną francuskich zawodowców politycznych i jakbyśmy szukali poparcia Moskwy. A czynimy to w chwili, kiedy zbieranina owa traci poparcie w narodzie francuskim, a Moskwa staje się coraz mniej pewna swej władzy".

Ale oto z tego chaosu zaczyna się wyłaniać wyraźny plan. Wizyta lorda Halifaxa, jadącego oficjalnie tylko na zwiedzenie wystawy łowieckiej w Berlinie staje się zapowiedzią wznowienia porozumienia z Niemcami, które trwało w przeszłości dwieście lat, zostało przerwane przez wielką wojnę z powodu nieroztropności Niemców, którym zachciało się budować wielką flotę, lecz teraz ma szanse odżycia na nowo. Silny zawsze w Anglii prąd germanofilski zwycięża, a jego wyraziciel tygodnik „*The Observer*", wiedzący zwykle dobrze jakie tendencje panują w sferach miarodajnych, dołącza do wizyty lorda Halifaxa zapewnienia o pełnym zrozumieniu i sympatii, jakimi cieszą się w Anglii niemieckie dążenia w Europie środkowej i wschodniej.

„Przede wszystkim — pisze redaktor tego tygodnika znany p. Garvin — czy mamy przyłączyć się się do usiłowań przeszkodzenia nazawsze ściślejszemu zjednoczeniu się tej rasy? Ściślejszemu zjednoczeniu w tej lub innej formie tych trzech gałęzi rasowych: w Reichu, w Austrii i w Czechach, które są geograficznie nierozłączne, językowo jednakie i były połączone historycznie w ciągu tysiąca lat... Jednym słowem zasadniczą kwestią całej naszej polityki jest, czy Wielka Brytania i Imperium ma uciec się do wojny światowej w tym celu, żeby razem z Francją, Rosją sowiecką i paru drobniejszymi sojusznikami usiłować utrzymać Niemców w ograniczeniu, zamknięciu i okaleczeniu stosownie do postanowień traktatu wersalskiego... Austria jest to kwestia rodzinna... Izolowane i zrujnowane przez paryskie traktaty 7 milionów Niemców austriackich nie może znaleźć większej i pewnej przyszłości, jak tylko w połączeniu się z głównym trzonem ich narodu... W jaki sposób do tego dojdzie to jest kwestia Niemców między Niemcami. My nie mamy tu nic do roboty i byłoby zarówno szalone jak i złe z naszej strony jakiekolwiek mieszanie się do tego... Mamy się znów pogrążyć w odmęt wojny, postawić na kartę Imperium i przyprawić o wstrząs cały świat, aby utrzymać i wymusić rasową przewagę mniej niż 7 milionów Czechów nad trzema i pół milionami Niemców sudeckich gwałtem poddanych pod obce rządy? Jest to zupełnie przeciwne brytyjskim zasadom i praktyce".... Itd. Itd.

Jak widzimy zasady brytyjskie zaczynają się skłaniać ku zaspokojeniu dążeń Hitlera. A co tym zasadom pomaga do tego, żeby znów silnie przemówiły, mimo, że milczały w Wersalu, to wyjaśnia cytowany na początku organ niezależny.

„Cała ta tajemniczość z układami niemieckimi jest zupełnie śmieszna. Sytuacja jest dość jasna: nie mając armii dostatecznej do naszych potrzeb, potrzebujemy sprzymierzeńca. Ponieważ nasz główny kłopot stanowi zapewnienie drogi do Indii, potrzebujemy kogoś, ktoby nam pomógł przeciwko Włochom, lub, gdy tego nie dostaniemy, to chcemy przynajmniej odłączyć od Włoch ich dotychczasowych pomocników. Chodzi nam również o uratowanie tego co jest do uratowania z naszych dochodów w Chinach (połowa dochodu Anglii z Chin płynie przez Szanghaj). Może już się nie da nic uratować. W każdym razie byłoby nam przyjemnie osłabić związek Berlina z Japonią. Innymi słowy potrzebujemy czegoś od Niemców. Lecz nie możemy dojść do porozumienia z Niemcami inaczej, tylko musimy im czemś zapłacić..."

Te angielskie komentarze do rozgrywających się aktów politycznych, lub do ich przygotowania nie pozostawiają nic do życzenia pod względem jasności.

ARGUS

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ"

NA ROK 1938

PRENUMERATA WYNOSI:

Całoroczna zgóry	32 zł.
Półroczna „ „	17 zł.
Kwartalna „ „	9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem załączonych blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.
Konto czekowe P. K. O. 3105.

TREŚĆ: Doświadczenia i wzory *J. Zamorskiego*.—O bezpieczeństwo publiczne *St. Rymara*. — Jest metoda w tym szaleństwie. *J. Dobraczyńskiego*.—„Action Française" i manifest ks. de Guize *Auduna*.—W poszukiwaniu nowych dróg *St. Czajkowskiego*. — Wuk Karadić *K. G.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego*. — Z prasy *K. Stojanowskiego*. Nauka i literatura *T. D.* — Nowe książki. — Z sali odczytowej *St. J.* — Na marginesie. — Pokłosie *Argusa*

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.60 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.